Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
W WEJHEROWIE
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

WEJHEROWO 2014

Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

Pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2014

W y d a w c a:

Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie,
im. Aleksandra Majkowskiego

Opracowanie i skład komputerowy:
Henryk Połchowski

Korekta: Ewelina Magdziarczyk-Plebanek

Projekt okładki: Henryk Połchowski

Druk: Top Druk Łomża

Drodzy Czytelnicy!

To już dziewiąta edycja Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny", którego organizatorem pod patronatem Prezydenta Miasta Wejherowa, jest Miejska Biblioteka Publiczna w im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie. Motto tegorocznego konkursu zostało zaczerpnięte z cytatu Alberta Schweitzera i brzmiało: *„Dopóki człowiek nie obejmie współczuciem wszystkich żywych stworzeń, dopóty on sam nie będzie mógł żyć w pokoju”*.

Okazało się, że wybór motta okazał się słuszny. Z satysfakcją stwierdzam, że zaproponowana przez organizatorów tematyka konkursu otworzyła szerokie pole dla twórców o wrażliwych sercach na cierpienie i ból wszelkich istot żywych, nie tylko ludzi, lecz również zwierząt. Znalazło to odbicie w dość znacznej ilości prac, jakie wpłynęły na nasz konkurs. W sumie na konkurs wpłynęły 54 prace: 22 opowiadania i 32 zestawy poetyckie, nie tylko z terenu województwa pomorskiego, ale także z różnych stron Polski.

Zważywszy na przepisy Regulaminu konkursu rozpatrywano, pod kątem przyznawania nagród i wyróżnień, jedynie prace z województwa pomorskiego. Dlatego nie wzięto pod uwagę ciekawych prac nadesłanych przez autorów z Krakowa, Chorzowa, Torunia, Mysłowic czy Szczecinka. Zdaniem organizatorów ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród laureatom powinno odbywać się z udziałem osób nagrodzonych, choćby ze względów formalnych. Z praktyki wynika, że autorzy nawet z terenu województwa, nie zawsze są w stanie dotrzeć do Wejherowa w określonym terminie. Wychodzimy bowiem z założenia, że organizowa-

nie finału konkursu bez spotkania z laureatami mija się z celem. Po to zapraszane są media, aby laureaci mogli podzielić się swoimi wrażeniami i poglądami na swoją twórczość, co stanowi przecież znakomitą promocję dla piszących, a o co w dzisiejszych, skomercjalizowanych czasach wcale nie jest łatwo. W tegorocznej edycji konkursu z różnych względów, m.in. formalnych, zrezygnowaliśmy z kategorii "Młodzież" zostawiając to pole do inwencji placówkom oświatowym realizującym edukację na poziomie licealnym.

Spośród prac zakwalifikowanych do konkursu z terenu województwa pomorskie najwięcej, bo aż 7, wpłynęło z Wejherowa. 6 prac zostało nadesłanych z Gdańska, po 2 z Gdyni, Słupska, Rumi, Czerska, Bytowa, Kwidzyna, Bolszewa, Gościcina, Sobowidza i Wyszanowa. Natomiast pojedyncze prace wpłynęły z Redy, Lęborka, Luzina, Miasta, Wicka, Strzepcza, Rekowa Górnego, Jasienia, Główczyc, Dębnicy Kaszubskiej i Rębu.

Zdaniem jurorów, poziom literacki tegorocznych prac, zwłaszcza w kategorii prozy, był bardzo wysoki. Spośród 20. opowiadań połowa zyskała bardzo wysokie oceny i o wyłonieniu grona laureatów decydowały dosłownie detale. Niemniej nagroda Grand Prix i pierwsze miejsce w kategorii prozy, poruszoną tematyką i poziomem literackim, zyskały szczególne uznanie. Zadowala też szeroka gama wartościowych utworów poetyckich, które wzbudzają zachwyt bogactwem myśli, pięknem sformułowań oraz atrakcyjnością środków stylistycznych. Generalnie należy wyrazić uznanie, że w czasach dominacji multimediów, telewizji, internetu i smartfonów, są tacy ludzie, którzy znajdują czas, aby sięgnąć po przysłowiowe pióro i pisać, co leży im na sercu: co ich boli, co wzrusza, co wzbudza radość, a co niepokoi i smuci.

Podjęta w tegorocznym konkursie tematyka spowodowała, że wiele prac dotknęło problemów niełatwych i trudnych dotyczących m.in. różnego rodzaju nieszczęść i problemów, w tym nieuleczalnych chorób, cierpienia i przemijania, a także bezduszności wobec zwierząt. Dziękuję wszystkim autorom za głos w obronie słabszych i pokrzywdzonych przez los. Może właśnie literatura poprzez swoją wymowę dotrze do świadomości

tych, którzy nie dostrzegają w swoim postępowaniu krzywdy czynionej innym.

Władze miasta Wejherowa sprawują ciągły mecenat nad kulturą, czego wyrazem jest choćby budowa Filharmonii Kaszubskiej, a także liczne imprezy kulturalne w Wejherowie sponsorowane przez miasto. Jednym z tych najważniejszych elementów tworzących rozwój kultury w mieście jest między innymi Wejherowski Konkurs Literacki "Powiew Weny", który z konkursu o charakterze miejskim wyrósł na konkurs obejmujący swoim zasięgiem region województwa pomorskiego. Cieszy, że wzbudza on zainteresowanie mieszkańców Trójmiasta i innych miejscowości. Oznacza to, że inwestowanie w kulturę ma sens, bo przynosi korzyści w sferze duchowej i intelektualnej mieszkańców miasta i regionu.

Dziękuję laureatom, jurorom oraz wszystkim uczestnikom konkursu za uczestnictwo i zapraszam do udziału w X - jubileuszowej edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiewu Weny" w roku przyszłym.

Bogdan Tokłowicz
Przewodniczący Komisji Konkursowej

W Y N I K I

IX Wejherowskiego Konkursu Literackiego
„POWIEW WENY – 2014"

Decyzją jury, w skład którego wchodzili: mgr Bogdan Tokłowicz (przewodniczący) - Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowa oraz członkowie: mgr Danuta Balcerowicz - dyrektor biblioteki, polonista; mgr Ewelina Magdziarczyk-Plebanek - teatrolog, kulturoznawca i bibliotekarz; mgr Jan Plata-Przechlewski - polonista, grafik, redaktor naczelny "Informatora" Gdańskiego Klubu Fantastyki; mgr Henryk Połchowski - polonista i dziennikarz, Krzysztof Powałka - sekretarz konkursu, laureatami IX Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny" zostali:

NAGRODA GRAND PRIX

Stach Szulist z Sobowidza, godło "Kapsułka", za opowiadanie pt. "Ojciec naprawdę chciał umrzeć"

PROZA

I miejsce: Krzysztof Szkurłatowski z Wejherowa, godło "12@", za opowiadanie pt. "Dziedzictwo",
II miejsce: Bogumiła Richert z Redy, godło "Zebra", za opowiadanie pt. "Zosia"
III miejsce: Daria Kaszubowska z Rąbu, godło "Kaszub", za opowiadanie pt. "Lekcja współczucia"
Wyróżnienie: Alicja Orszulak z Wejherowa , godło "Kłobuk", za opowiadanie pt. "Drabina"
Wyróżnienie: Lidia Zdzitowiecka z Gościcina, godło Szemkel", za opowiadanie pt. "Menadżing"

POEZJA

I miejsce: Daria Węsierska z Rumi, godło "Felicitas",
II miejsce: Rafał Baron z Gdańska, godło "Szkwał",
III miejsce: Lechosław Cierniak, godło "Mors",
Wyróżnienie: Jerzy Fryckowski z Dębnicy Kaszubskiej, godło "Trzy Gerbery"; Karol Bronk z Wejherowa, godło "Leonard"; Patrycja Pionke z Wejherowa, godło "Mała Kawka" i Aleksandra Paluszek-Kur z Wejherowa , godło "Pol".

Nagroda „Grand Prix”

Ojciec naprawdę pragnął umrzeć

Od momentu śmierci ojca Klara znienawidziła matkę. Tak ten stan uczuć wewnętrznych względem niej nazywała. A właściwie wcześniej, niż od tego właśnie momentu. Kilka miesięcy przed tym momentem – strasznym i bolesnym w emocjonalnym przeżywaniu – zauważyła, że matka wcale nie dba o jego wyleczenie. Wciąż tylko narzekała, że nieskutecznie szuka roboty, a jak już jakąkolwiek dostanie, to nie potrafi się w niej utrzymać dłużej niż tydzień, dwa...., czasami trochę więcej. Ale zawsze na czarno. Bo wtedy więcej płacą, usiłował ją przekonywać. Wtedy ona, że nie będzie miał żadnej emerytury, albo co najwyżej jakąś gównianą. A kiedy brakowało jej argumentów do toczenia kłótni, niejednokrotnie z wyzwiskami, sugerowała mu, że całe to narzekanie, chorobę, sobie po prostu zmyślił. Żeby ona, zaharowana od świtu do nocy za minimum socjalne, znajdywała czas na użalanie się nad nim. Nie pomagały zapewnienia z jego strony, że mimo wszystko się stara, tylko jakoś mu nie wychodzi, że nie radzi sobie z systemem. Aż w końcu przestał się tłumaczyć. Poddawał się systemowi. Coraz częściej milczał.

– Chwilami jesteś jak jakaś stara baba – dokuczała – która za cel życia postawiła sobie narzekanie.

– Niczego nie rozumiesz, a ja.... - usiłował się jeszcze tłumaczyć resztką nadziei. W końcu machnął ręką.

– Niejednokrotnie to słyszała i zawsze żal jej było ojca. Tatusia. Kochanego tatuśka, jak zwykła go nazywać, przytulając się do niego za

każdym razem, gdy tylko czuła się źle, sponiewierana, niedoceniana, bądź zwyczajnie spragniona czułości. Tej czułości, jakiej niejednokrotnie oczekiwała od matki – nie mamusi, tak nie umiała jej nigdy nazwać – a ilekroć w takich sytuacjach zbliżała się z tym oczekiwaniem do matki, zaraz słyszała: Dziecko kochane, nie teraz, przecież doskonale widzisz, że mamusia nie ma czasu, jest zajęta, a jutro musi o czwartej trzydzieści wstać!

Nie była pewna – teraz też nie jest – czy matka rzeczywiście ten potok słów kończyła wykrzyknikiem? Czy rzeczywiście brzmiało to tak hardo, jak wtedy jej się zdawało, bo dziś sama nie wie, na ile tamten zapamiętany ton jest kreacją jej wyobraźni, a na ile prawdziwy? Tym bardziej, że telefon od Waldka, zapowiadający kres tego co najcenniejsze, sprawił – mimo wszystkich ciemnych stron wspólnego życia - że kolana ugięły się pod nią i przez moment miała wrażenie, że runie na podłogę.

Przerzuty....., a potem tylko szum w głowie czy w uszach.

Wytrzymała. Choć zaćmienie umysłu nie pozwoliło na sklecenie najprostszego pytania.

Pomyślała coś o jakiejś karze boskiej i bardzo się zawstydziła.

Nie można przecież tak o matce.... .

Matka zmieniła się w stosunku do ojca – kochanego i słodkiego – gdy ten powiedział jej coś o chorobie. Chciała też wiedzieć. Kiedyś – wieczorem – gdy matka poszła na nocną zmianę, zakradła się do ojcowskiego łóżka i zapytała:

– Czy to coś poważnego?

– Jak każda choroba – odparł tak jakoś nijako.

– Ale czy od tego można umrzeć?

– Jak od wszystkiego.

– Ale czy ty umrzesz?

– Jak każdy – mruknął z ciężkim westchnieniem. Ale ta i poprzednie odpowiedzi w żaden sposób jej nie satysfakcjonowały. Nabra-

ła tylko przekonania, że ojciec coś ukrywa, albo – czym grzała jeszcze swą wielką nadzieję – mówi tak, bo nie chce z dzieckiem wdawać się w poważne rozważania na temat życia i śmierci.

I któregoś ranka matka ze spokojem – tylko ukradkiem rąbkiem fartucha ocierając łzę – oznajmiła, żeby nie wchodziła z Marcinem – bratem – do pokoju, bo tatuś właśnie umarł. A w zasadzie to chciał umrzeć. I z miejsca się ocknęła.

– Jezu przenajświętszy, co ja plotę! Przecież nikt nie chce umrzeć.

A potem Klara już tylko nienawidziła matkę. Szczególnie po tym, jak lekarz zainteresował się nagłym ustaniem akcji serca i zarządził skierowanie na sekcję zwłok. Pogrzeb odbył się po tygodniu, a matka – mimo nalegań siedemnastoletniej córki – nie chciała powiedzieć, co poza nowotworem krtani ojcu jeszcze dolegało. I czemu ta sekcja zwłok? W odpowiedzi usłyszała, że tatuś po prostu chciał umrzeć i to wam musi wystarczyć.

Wystarczyło. Na chwilę.

Marcin był akurat po maturze. W jednym momencie zdecydował, że pakuje manatki i rusza za granicę w poszukiwaniu lepszego losu i bardziej znośnej lekkości bytu. Nie oponowała. Jakby się cieszyła, że jedna gęba do żywienia mniej. Tym bardziej, że akurat zaczęła się niepojęta dla wielu transformacja i pracy dla takich jak Marcin było coraz mniej. Niemniej czule się z matką pożegnał i pierwszy znak życia dał dopiero po dwóch latach. Klara z satysfakcją obserwowała w tym czasie rozczarowanie matki. Zwłaszcza, gdy ta użalała się, że Marcinek – Cinek (tak go zdrobniale nazywała) mógłby choć parę marek przesłać od czasu do czasu. Budżet matce się przestał dopinać. Wtedy ona ruszała z atakiem:

– Nie przesadzaj, bo te kilka marek to znacznie mniej, niż moja renta po tatusiu, którą mi w całości zabierasz.

– Dzięki temu mamy na rachunki i byle jakie żarcie – odburkiwa-

ła matka znad kolejnej ręcznej robótki, bo zaczęła dorabiać robieniem na drutach wełnianych swetrów, szaliczków i skarpet.

Odpowiedź rozwścieczyła Klarę do tego stopnia, że z objęć domowego (nie)ciepełka wpadła w ramiona Waldka. Nie zastanawiając się nawet nad stanem uczuć do mężczyzny i nie zważając przy tym na łzy matki i zapewnienia: Przecież zawsze chciałam dla ciebie, dla was, dla nas jak najlepiej. W końcu to nie moja wina, że czasy takie się porobiły.....!

Nie chciała – nie zamierzała nawet – tego słuchać. Waldek porządnie ścisnął w pasie. Przytulił. Pocałował. Poczuła żar bijący od jego ciała i tak już pozostali. Matka przestała jej być do czegokolwiek potrzebna. Tylko po kilku miesiącach poprosiła Gośkę, koleżankę ze spożywczego, żeby zaniosła matce wiadomość, że zostanie babcią.

– Kurde, ale ci zazdroszczę! - Wieść o ciąży, nieślubnej na dodatek, zelektryzowała i zaintrygowała koleżankę.

– Nie ma czego.

– Wpadka?

– Raczej nie.

– To co? - Gośka aż popiskiwała z żądzy zaspokojenia ciekawości.

– Zemsta.

– Że jak? - Kompletnie zbaraniała.

– Właśnie tak.

– To ja nic z tego nie kumam?

– Nie ty jedna.

Nie miała ochoty na dalsze tłumaczenia. Jeszcze tego samego dnia Waldek kazał jej zwolnić się z pracy: nie będziesz przecież stała jak ta głupia za ladą, żeby może jakiś durny obcy kapitał się na twoich żylakach dorabiał. Ucieszyła się i z tej radości porządnie narzeczonego – choć o ślubie jeszcze nie wzmiankowali – wyściskała i wycałowała. I przez moment chciała być tak ściskana i tarmoszona, żeby zgubić tego

dzieciaka, ten płód, co się w niej zalągł i dorastał, i lękiem napawał, a co z każdym dniem wyraźniej odczuwała, choćby przez poranną porcję wymiotów oddawanych muszli klozetowej we wciąż tej samej pozycji. Lecz kiedy Waldek kończył to, co tak bardzo robić z nią lubił i zapalał kolejnego papierosa, zaczynała wstydzić się tych myśli. I gdzieś w zakamarkach szarych komórek tliła się upokarzająca myśl: To matce źle życzysz, a sama o takiej zbrodni.....? Aż brakowało odwagi na dokończenie swawolnie poczętej myśli.

Z Waldkiem była coraz szczęśliwsza. Tylko im bliżej porodu, tym bardziej obawiała się, czy da sobie radę. Waldek obiecywał, że we wszystkim wesprze, ale choć przytakiwała, dodawała sobie otuchy, z obserwacji wiedziała – i przekładała to na swoje – że z męskimi obietnicami w takich sytuacjach trzeba bardzo ostrożnie, bo potem i tak pochłonie ich praca i setki innych wymówek. Znała to ze swojego domu. I znów musiała sobie o matce przypomnieć. Że przydałaby się – być może - tuż po rozwiązaniu. Choćby po to, by dzieciaka wieczorem wykąpać.

Na teściową liczyć nie mogła, bo zapracowana. Wiejska nauczycielka, która nie bardzo rada była z tego, że jej jedynak – miał zostać lekarzem, ale nie przepadał za nauką i straszliwie łobuzował w szkole – związał się z dziewczyną bez zawodu, z nie wiadomo jakiego środowiska i jedyne, co umiał na jej temat swej matce powiedzieć, to tyle, że kocha tę dziewczynę. Jej to wystarczało, nawet ciepłem nieopisanym otulało zdające się w chłód popadać serce, ale jego matce niewiele z tego przychodziło, co wyrażała miną. Nawet nie usiłując tego maskować, jak zwykli – w jej mniemaniu – czynić ludzie wykształceni, byle tylko zachować pozory, jakiś fason, czy klasę – jak woleli to nazywać. Matka Waldka często o „klasie" mówiła w obecności Klary, która nigdy pojąć nie mogła, o co tej kobiecie chodziło? Ostatecznie nie obchodziło jej to. Liczył się Waldek i jego miłość. A do tego owoc tej miłości, który właśnie zaczynał pchać się na ten świat.

Kiedy już szczęśliwie na nim się pojawił, okazał się być ważącym ponad cztery kilogramy męskim kolosem o silnych płucach, bo od samego początku wrzeszczał tak, że ściany izby szpitalnej niemal w szwach trzeszczały od wstrząsów. Nie dosłownie, ale tak to – jako świeżutka matka – wszelkimi zmysłami odbierała. Przyszła teściowa – bo przy tej sposobności myśl o ślubie w głowie Waldka zaświtała, a jego matka głośno o tym wspomniała, nawet zabarwiając swą niby mimochodem rzuconą wypowiedź tonem rozkazującym – kiedy tylko ujrzała małego – po znajomości dostała się do izby szpitalnej – z miejsca stwierdziła: toż to czysty nasz Walduś i na pewno zostanie w przyszłości lekarzem. Klara przemilczała tę uwagę, a gdy spojrzenia kobiet spotkały się, wysiliła się na dyskretny, acz serdeczny uśmiech, może tylko uśmieszek. Od tej pory ścianka lodu między nimi jakby stopniała, bo pani Antonina – tak miała na imię matka Waldka – weszła w rolę nie tylko teściowej, ale rasowej babci przede wszystkim. Tak, że kiedy następnego dnia wypisali Klarę z małym Maciejem – imię musi mieć po dziadziusiu, grzmiała od samego początku teściowa – ta wczuła się w rolę pierwszej kąpiącej i noszącej na rękach. I ku skrywanemu oburzeniu Klary skonstatowała nawet: Gdybym tylko mogła, sama bym go własną piersią karmiła. To stwierdzenie nie tylko zabolało Klarę, ale napawało swego rodzaju niesmakiem, jakaś przypadkowa myśl o zbyt starych piersiach teściowej przemknęła obrzeżami kory mózgowej świeżo upieczonej mamusi.

Waldek początkowo był wniebowzięty z faktu posiadania dziedzica – tak go od początku nazywał, choć Klara nie bardzo wiedziała, co niby Maciuś miałby dziedziczyć, skoro jeszcze niczego nie posiadają, nawet spełnioną rodziną nie są w sensie sakramentalnym, lecz starczało jej, że ojciec taki szalony za synem. Po kilku miesiącach zauważyła, że Waldek coraz więcej pracuje, a ona musi dzielić czas i kuchnię z teściową. Liczyła skrycie, że zmieni się to po ślubie. Ale i w dzień ślubu Waldek musiał udać się na godzinę do pracy. Kiedy oponowała, oznaj-

mił stanowczo: Doskonale wiesz, że nie dadzą sobie rady beze mnie, a w obecnej naszej sytuacji... . I faszerował ją banałami o powinnościach głowy rodziny i potrzebie zarabiania kasy, żeby jak najszybciej uwolnić się od matki i ojca. Wtedy, tuż po wypowiedzeniu przed ołtarzem sakramentalnego „TAK" (choć w tym momencie jakoś dziwnie, niezrozumiale nawet dla siebie samej, zawahała się), pierwszy raz od kilku miesięcy przypomniała sobie o matce. Żal jej się zrobiło, że nawet o ślubie jej nie powiadomiła. Zanim jednak wyszli z kościoła i lokowali się w samochodzie pożyczonym od najlepszego kolegi Waldka, zdążyła zrobić myślom wycieczkę po wspólnie przeżytych pod matczynym dachem z matką latach i wyszło jej, że nie ma powodu do czynienia sobie wyrzutów. Mimo to na weselu nie bawiła się dobrze. W jednym z folderów pamięci zapisała tę noc pod hasłem – KOSZMAR!

O matce przypomniała sobie po kolejnych kilku miesiącach, kiedy Maciej zachorował, teściowa musiała iść do pracy, bo akurat w szkole działy się takie rzeczy, że bez niej ani rusz: Bo przecież jestem zbyt doświadczoną nauczycielką, żeby pozwalać sobie na fuszerki, a wy musicie radzić sobie sami, pora najwyższa. My z Maciejem....

Tego Klara nie miała ochoty słuchać. Widziała jedynie kątem oka, jak ruszają się usta wychodzącej do pracy teściowej i że brakowało w tym momencie Waldka. Ten akurat wykonał tylko krótki telefon: Musisz jakoś sama sobie poradzić, bo muszę jeszcze kilka godzin zostać. Najlepiej wsiądź w autobus – dziewiętnastkę – dojedź do rynku i poszukaj adresu tego pediatry.

– A taksówką nie mogę? - Zaproponował Klara, nieśmiało i z wyczuwalnym stanem paniki w głosie.

– A kto za to zapłaci?

– Ja.

– A masz swoje pieniądze?

– Nasze.

– Nie chcę być chamem, kochanie, ale to ja zarabiam i ja...

Odłożyła słuchawkę i pojechała autobusem. Płakała. Chyba – nie pamiętała dokładnie, ale ktoś z pasażerów ją w tej sprawie zaczepił. W drodze od przystanku autobusowego do gabinetu pediatry popłakiwała na pewno. Nawet lekarz, mężczyzna, nie znając powodu dostrzeżonych przypadkiem łez usiłował ją uspokoić.

– Proszę się nie obawiać. To tylko zapalenie oskrzeli. Ale rozumiem panią, wszystkie młode matki, szczególnie z pierwszym dzieckiem, tak mają.

– Ile płacę? - Zapytała.

– Tylko sto.

Położyła pieniądze na biurku, wzięła receptę i z dzieckiem na ręku podreptała na przystanek autobusowy. I ponownie dopadły ją myśli o matce. Wiedziała, że Waldek, jak zwykle, późno wróci z pracy, a teściowa utonie w zwałach zeszytów z pracami domowymi do sprawdzenia, toteż postanowiła – nikomu nic nie mówiąc – udać się do matki. Tak po prostu. Bez przygotowania do trudnej rozmowy. Wiedziała bowiem, że jeżeli już stanie z nią oko w oko, to ewentualna rozmowa musi być trudna, ale jakoś tam zacznie się kleić.

Przed drzwi mieszkania matki dotarła przed wieczorem. Było już ciemno. Zanim zapukała, kilka razy podchodziła do nich, wysuwała zgięty, zgrabiały od chłodu, palec i.... dezerterowała. Nie potrafiąc ogarnąć myśli ani ułożyć najprostszej formułki powitania. Wciąż tylko kłębiła się w głowie jedna myśl: od czego zacząć i o czym w ogóle rozmawiać?

W końcu odważyła się.

Cisza.

Wreszcie zza drzwi usłyszała czyjąś krzątaninę. Napięcie rosło. Trzask odryglowywanego zamka sprawiał, że serce Klary biło jak młot o kowadło. Pojawiła się dzika myśl: Uciekaj! Dwa stopnie niżej zeszła aż..... Wytrzymała i ....oko w oko z matką stanęła. Jakby obojętną. Na pewno postarzałą. Przynajmniej tak się jej zdawało.

Milczały. Wreszcie Klara zdecydowała jako pierwsza się odezwać.

– Jestem... - i nic więcej myśl na język nie przyniosła.

– Widzę. I co z tego?

Chłodne powitanie kompletnie pozbawiło ją resztek pewności siebie. Jeszcze chwilę wcześniej tliła się w niej iskierka nadziei, że matka rzuci się na nią ze szlochem, że oto córka wróciła na łono rodziny, wyściska, przytuli, wybaczy, a tu otchłań obojętności. Domyślała się tylko, że ze strony matki to gra, że pod tą skorupą udawanej obojętności pulsuje cierpienie. Że chciałaby zrobić to, na co liczyła córka, ale resztki urażonej matczynej dumy powstrzymują ją przed tym.

– To mój synek – ciągnęła Klara, samej siebie nie rozumiejąc w tym momencie.

– Chyba nie tylko twój?

– I Waldka. - Klara wyczuła nutę ciekawości w głosie matki i w jej łapczywym spojrzeniu. Takim, jakiego nigdy wcześniej, w dzieciństwie na pewno, u niej nie zauważała.

– Nie znam żadnego Waldka – oschle skwitowała stercząca w półotwartych drzwiach kobieta.

– To mój mąż.

– Mąż, powiadasz?

– Tak. Chciałam porozmawiać.

– O czym?

– O nas?

– To znaczy?

– Opowiedzieć ci....

– Nie wracajmy już do tego. Poza tym, jest już późno, a ja muszę wstać o czwartej trzydzieści. Mam pierwszą zmianę.

– Mamo..... - Klara była zdruzgotana.

– Dobranoc. - I zanim zatrzasnęła drzwi: Tylko radzę ci uważać, bo pada i zimno, jeszcze sobie tego dzieciaka przeziębisz.

Trzaśnięcie drzwiami przed nosem Klary zabolało bardziej niż solidny policzek pamiętany z dzieciństwa, a otrzymany za kolejną pyskówkę i odmowę wykonania jakiejś czynności, zapewne zmywania naczyń, czego Klara szczerze nienawidziła i nienawidzi.

Noc spędziła na dworcu autobusowym. Nie było to łatwe. Dworzec był na noc zamykany, ale stróż się zlitował. Przetrwała, bo wnętrze było ogrzewane, stróż poczęstował herbatą, nawet na kilka godzin łóżko dla małego użyczył i wreszcie miała z kim szczerze porozmawiać o życiu, chorobach i niechybnej śmierci każdego czekającej. Obcemu łatwiej się wyżalić. Stary stróż, emeryt, okazał się doświadczonym życiowo człowiekiem z zacięciem filozoficznym, co w jakimś stopniu nawet się Klarze spodobało. Przez krótką chwilę pomyślała nawet, że lepiej by było, gdyby ktoś taki był jej mężem, a nie.... . I w tym momencie przerwała galopadę myśli, które o strach i ciarki na plecach zaczynały ją przyprawiać.

Gdy wsiadła do pierwszego autobusu wiozącego ją do domu, ogarnęła ją fala autentycznego strachu, gdyż, o czym nie zdążyła pomyśleć wcześniej.....

..... w domu czekała zapłakana i mdlejąca z histerii teściowa, Waldek palił papierosa za papierosem, był przy tym kompletnie pijany, a teść siedział przed telewizorem i nerwowo stukał grubym kciukiem w blat lakierowanego na wysoki połysk stolika. A jej było wszystko jedno.

– Nigdy więcej tam nie pojadę – oznajmiła teatralnym szeptem i w pulsującym przed chwilą emocjami wszelakiej maści pokoju zaległa niemal grobowa cisza. Nawet ledwie widzący Waldek odzyskał rezon i po wysiłku wybełkotał: O czym ty móó (czkawka) óówisz?

– O nikim.

Dopiero wieczorem opowiedziała o wszystkim teściowej i ta – uspokojona – uspokoiła pozostałych domowników. Przede wszystkim syna. Lecz namiastka sielanki małżeńskiej wróciła dopiero po kilku

dniach, czego skutkiem było oznajmienie Waldkowi po trzech miesiącach, że ponownie zostanie ojcem. Nie wyglądał na zachwyconego, choć takiego udawał i po cichu wmawiał sobie, że Klara się myli. Za to jawnie swą niechęć okazywała tej kwestii Antonina.

– Gdzie wy się pomieścicie z dwójką dzieci? I kto na to zarobi?

– Ja – stanowczość Klary zdumiała wszystkich równie skutecznie, jak jej zniknięcie z Maciejem, kiedy udała się do matki.

– A kto cię przyjmie do roboty? - Nie spodziewała się takiego pytania ze strony męża.

– Ktoś na pewno.

I gdy tylko kończył jej się okres urlopu macierzyńskiego, przystąpiła do szukania pracy. Minęła jej złość na męża, irytacja na podsycone intrygami zachowanie teściowej, bo po znalezieniu pracy przy produkcji podzespołów do samochodów ciężarowych, postanowiła szukać opiekunki do dzieci. Nie sądziła, że to takie trudne. Z telefonu od brata dowiedziała się, że matka akurat nie ma pracy, on musi ją wspierać: I jakbyś ją może poprosiła...

– Odpada! - Burknęła stanowczo do telefonu.

Była wściekła na Marcina, że przypomniał jej o matce, gdyż od chwili wyprawy z Maćkiem postanowiła zerwać z nią wszelkie kontakty, co odbijała się narastającym latami garbem bólu.

Pochłonięta pracą na kilku frontach życia, w zakładzie, w domu, w związkach zawodowych – które w międzyczasie zmusiły ją do zrobienia liceum wieczorowego, bez matury wprawdzie, ale odtąd poczytywała to sobie jako rodzaj nobilitacji – stopniowo zapominała o istnieniu matki. Nawet usiłowała podjąć trud wymazywania jej z pamięci, co nie do końca się udało, bowiem w najmniej spodziewanych momentach obraz tej kobiety – zapewne posiwiałej i pomarszczonej, podpowiadała Klarze wyobraźnia – pojawiał się przed oczyma co pewien czas, tylko w dłuższej perspektywie czasowej coraz bardziej wyblakły i jakby rozmazany. Wtedy Klarę dopadał lęk i zimne krople drobnego

potu czuła na plecach. Chciała o tym porozmawiać z Waldkiem, ale usłyszała: To nie moja bajka, dziewczyno.

Zrobiło jej się kolejny raz przykro. Od jakiegoś czasu obserwowała, jak mąż oddala się od niej. Przynosił też do domu coraz mniej pieniędzy, aż wreszcie oznajmił: Firmę zamknęli. Chcąc nie chcąc przypomniała sobie w najmniej komfortowym momencie o domu rodzinnym. Jeszcze tego samego dnia wsiadła do autobusu i pojechała z dziećmi na grób ojca. Po raz pierwszy opowiedziała synom o dziadku. Wtenczas, gdy poprawiała sztuczne kwiaty ustawione na grobie – zaniedbanym i bez pomnika – z bolesnym pytaniem, w którym kryło się też stwierdzenie faktu, wyrwał się Maciek: Nie wiedziałem, że mam nieżywego dziadka. Rozpłakała się. Dzieciom wmówiła, że to od zacinającego deszczu z wiatrem, bo akurat solidnie się rozpadało. Gdy wróciła do domu, oberwało jej się od Waldka, że niepotrzebnie dzieciaki na niebezpieczeństwo choroby naraża. Wypomniała mu wówczas, że ostatnimi czasy przestał zupełnie zajmować się dziećmi: W ogóle domem przestałeś się interesować.

– Doskonale widzisz – przekonywał – że mam kłopoty. Że roboty znaleźć nie mogę, a zasiłek zaraz się skończy.

– To bierz jakąkolwiek. Nawet na czarno.

– Nie ze mną te numery! - Warknął i zamiast szukać, otwierał kolejną butelkę z piwem.

– Masz zamiar użalać się nad sobą i tonąć w gorzale?

Nie spodziewała się, że uderzy ją w twarz. W dodatku przy dzieciach, które z miejsca uderzyły w płacz. Tak donośny, że po chwili do mieszkania wpadła zaniepokojona teściowa. Nie usłyszała od Klary, co się stało i Klara nigdy nie usiłowała dociec, czy kiedykolwiek wspomniał o tym matce syn. Po prostu wyniosła się. Z dziećmi. Następnego dnia. Za połowę niewysokiej pensji wynajęła obskurny pokoik w piwnicznej części starego domu na przedmieściach, u równie starej co ten dom i dzielnica staruszki, po czym zaczęła toczyć walkę o przetrwanie

z poczuciem niezależności. Nie zdołała się przekonać, czy udałoby jej się kiedykolwiek tę walkę wygrać, bo wszystko nieoczekiwanie przerwała Antonina. Odnalazła synową z dziećmi i po kilkugodzinnym przekonywaniu – wraz z teściem, który zwyczajowo, niczym znany Klarze Dulski z pamiętanej z wieczorówki lektury, milczał – podjęła decyzję o powrocie. Teściowa wspominała o jakichś warunkach w stosunku do Waldka, ale Klara odrzekła tylko: „Robię to, proszę mamy, wyłącznie dla dzieci".

Wróciła. Jej życie z Waldkiem było odtąd udawaniem małżeństwa. Mąż co miesiąc kładł jej na kuchennym blacie określoną kwotę pieniędzy z karteczką: To na rachunki i życie. Czasem też z grzecznościową informacją, że nie będzie go przez jakiś czas, bo wyjeżdża w delegację: „Kasę prawdziwą robić." Lecz Klary to nie wzruszało. Tylko kiedy rozpamiętywała i analizowała anatomię ich związku, gdy jeszcze na początku była wielka – a potem to już tylko jakaś – miłość, to robiło jej się smutno, płaczliwie i przypominała sobie matkę. W takich chwilach chciała – myślała przynajmniej skrycie o tym i nieśmiało, choć może dla kogoś postronnego byłoby to śmiałe, gdyby miał okazje poznać jej myśli – spotkać się z nią: Musi być już mocno postarzałą kobieciną? Za każdym razem po takich myślach przychodziła obawa, aż wreszcie zasypujący nadzieję strach. Wracała do rzeczywistości. Do trudności synów w nauce, coraz mniejszych kwot pieniędzy otrzymywanych od Waldka, nadgodzin wypraszanych u liderki na dziale, by z trudem powiązać koniec z końcem, wreszcie – niczym grom z jasnego nieba – sparaliżowała ją wieść, że jej ślubny ma nieślubną córkę z młodszą o szesnaście lat dziewczyną z sąsiedztwa. Na to wszystko jeszcze słowa teściowej: „No wybacz, kochanie, ale taki młody chłop to i od czasu do czasu potrzebuje." Nie miała sił nawet na namiastkę riposty. Pewna, że Antonina zrobiła to celowo. Że ukazała synowej - ? - prawdziwe oblicze mamuśki zawsze stającej po stronie syna, niechby nawet był ostatnim bandziorem i łajzą. Jednak i na takie myślenie, złorzeczenie mężowi - ? - sił jej brakło.

Jeszcze bardziej zobojętniała i zhardziała. W myślach schlebiała sobie: „Jestem twarda jak dąb, albo i skała." To dodawało jej otuchy i sił. Na Waldka kompletnie zobojętniała. Nawet jak rozmawiali, bo od pewnego czasu zaczęli rozmawiać o wszystkim i niczym, nie było w tym iskierki dawniejszych emocji.

Któregoś razu, po szczęśliwym dniu – Maciej akurat zdał maturę i z wyliczenia wychodziło mu, że wymarzona informatyka na politechnice będzie w zasięgu jego możliwości – zastała Waldka leżącego na łóżku w ich dawnej sypialni. Zdziwiła się. Chciała coś powiedzieć, zwrócić uwagę na niestosowność, ale ubiegł ją....

– Daruj sobie.

– Nie rozumiem?

– Pogadać musimy.

– Mamy jeszcze o czym?

– Jeśli myślisz o tym, co ja, to nie mamy. Ale tu chodzi o nasze dzieci.

– Tym bardziej nie rozumiem? - W zasadzie było jej obojętne, co mówi Waldek. Mąż? To nie mieściło się już w obszarze jej myślenia.

– Teraz jestem.....

– Teraz, albo nigdy!

Przestraszyła się. Po raz pierwszy od kilkunastu lat. Położyła się obok niego. Leżał jak w trumnie. Z rękoma złożonymi na klatce piersiowej. Wpatrzony w sufit. Konkretnie w jeden punkt. Też weń się wpatrywać zaczęła, ale niczego poza drobnym śladem muszej kupy tam nie dojrzała. Milczeli milczeniem tak ciężkim, nieznośnym, że własne oddechy zdawały się być huraganem. Wreszcie po ciężkim westchnieniu – tornadzie spuentował: To już koniec.

– Od dawna to wiem, przynajmniej od chwili twojego telefonu o chorobie – stwierdziła beznamiętnie.

– Ale ja nie o tym, co ty.

– A o czym?

– Postanowiłem umrzeć.

Miała ochotę odpalić: To sobie umieraj! W ostatniej chwili ugryzła się w język. Przypomniała sobie, choć nie chciała, jakby wbrew własnym myślom, psychice, sytuację z ojcem, który też ponoć chciał według matki.... . Nawet po latach nie była w stanie dokończyć zdania sprzed lat, bo dotyczyło jej ukochanego ojca. Rozpłakała się uświadomiwszy sobie, jak bardzo na przestrzeni lat zapuściła pamięć o nim.

– Nie płacz, to niczego nie zmieni. - Waldek z trudem tłumił łzy.

– Nie wiesz z jakiego powodu.... . - Nie dokończyła. Nie miała ochoty. A poza tym uzmysłowiła sobie w ułamku sekundy, że tak naprawdę nie wie, o czym rozmawiają?

– Chcę, żeby dzieciom było lżej. Właśnie mam stałą pracę i ubezpieczenie.

– O czym ty mi tak naprawdę chcesz powiedzieć?

– Przypomniałem sobie twojego ojca.

Przeleżeli tak nieruchomo przez całą noc. Milczący. Spoceni. Pogrążeni w odmętach, nieczytelnych dla nich samych, własnych myśli. Uwierzyć nie mogła, mimo piramidy złości i obojętności jaką zbudował między nimi czas, a i oni sami, że Waldek umiera. Chciała zapłakać, ale nie dała rady. Wszystko się w niej wypaliło.

Nazajutrz, nikomu nic nie mówiąc, postanowiła pojechać do matki. Tuż przed wyjściem zaczepił ją Maciej.

– Stało się coś? - Pytanie rzucił ot tak sobie, mimochodem.

– Nic takiego.

– To gdzie się tak z rana wybierasz? - I zaczął parzyć sobie kawę oraz przygotowywać do porannego joggingu.

– Ojciec postanowił umrzeć.

– Dobre – mruknął i pognał przed siebie.

Klara wsiadła do autobusu i pojechała do matki. W drodze kilka razy próbowała skontaktować się z bratem. Bezskutecznie. Od blisko dziesięciu lat nie rozmawiali. Obraził się, kiedy odmówiła pogodzenia się z matką.

Idąc schodami w górę pod drzwi mieszkania spotkała dawną sąsiadkę, ukłoniła się, ale kobieta nie odpowiedziała nawet skinieniem głową. Paskudnie o niej pomyślała i zatrzymała się przed drzwiami. Tym razem odważnie zastukała kilka, może kilkanaście, razy. Odpowiedzią była cisza. Czynność tę powtórzyła jeszcze kilkakrotnie. Wreszcie zaczęła walić pięścią w drzwi. Tak długo, aż z sąsiedniego mieszkanie wyskoczył – w samych tylko slipach – młody mężczyzna z krzykiem: Czego tak walisz, kretynko? Po nocy jestem!

– Ja do mamy....mojej.... - odrzekła nieśmiało.

Uspokoił się.

– Jakiej mamy?

– Mojej.

– Tutaj?

– Tak.

– Jeśli chodzi o tę starszą panią, co tu zawsze mieszkała, to ona rok temu na raka zmarła.

Od tego momentu Klara niczego nie pamiętała. Nawet nie wiedziała, jak dotarła na cmentarz. Ocknęła się dopiero na grobie ojca – ktoś postawił nowy pomnik, z zielonego granitu, bardzo ładny, skonstatowała naprędce – i wtedy zauważyła, że obok znajduje się grób matki. Na takiej samej ciemnozielonej płycie widniał wypisany złotymi literami napis: „Najukochańszej Mamusi syn Marcin wraz z żoną i córkami".

– A ja....? - Usłyszała swój – nieswój głos, czy myśl. Bo już pewności nie miała, czy pytała, czy tylko jej się zdawało?

Stach Szulist

I miejsce

Dziedzictwo

Z każdą wyjmowaną z kartonu kserokopią, z każdą oglądaną reprodukcją fotografii, z każdą odczytywaną kartką wypełnioną zapiskami – byłem coraz bardziej zaskoczony. A zaskoczenie, krok po kroku, przeradzało się w zdumienie. Tym większe, że człowiek, którego dotyczyły zgromadzone materiały, był moim krewnym! Wcześniej wiedziałem o nim właściwie tylko, że nazywał się Ludwik Qualfreude i że był Niemcem. Tyle potrzebowałem, by móc wpisać go na prościutkim drzewie genealogicznym przygotowywanym na lekcjach historii w podstawówce. Dostałem za nie piątkę.

Ale dopiero teraz odkrywałem swojego przodka. I muszę przyznać, że było to zajęcie nader wciągające. Przynajmniej na początku. Z kartek pisanych na maszynie, notatek bazgranych ołówkiem, odpisów i artykułów drukowanych gotycką czcionką – układał się powoli obraz człowieka. Choć prawdziwsze będzie raczej stwierdzenie, że wyłaniało się wyobrażenie o człowieku. Do uzyskanie obrazu brakowało bardzo wielu puzzli; a i te, które były, w wielu miejscach zdawały się być dopasowane na siłę.

To, że wiedziałem gdzie i kiedy urodził się mój prapradziadek, jakie szkoły skończył, z kim się ożenił i ile miał dzieci, nie czyniło go wcale bliższym. Więcej mówiły fotografie – cztery. Na pierwszej zobaczyłem trochę spiętego, ale chyba zadowolonego dzieciaka z ogromną *Schultüte*. Czy ten tekturowy róg przyniósł w przyszłości chudemu pierwszakowi wszelkie obfitości – wiedzę, bogactwo i szczęście? Drugie zdjęcie zdaje się to potwierdzać. Liczni goście otaczający młodą pa-

rę są w wybornych humorach, ślicznej małżonce błyszczą oczy, a mój młody prapradziadek utkwił w niej rozmarzone spojrzenie, zupełnie ignorując obiektyw. Obraz sielanki uzupełniał mały lecz uroczy – a w dodatku murowany – domek, którego spore fragmenty widać zza tłumu weselników. To ich dom w podberlińskiej wsi Gatow, tak napisano na odwrocie zdjęcia. Spoglądam na mapę Berlina z tamtych czasów. Spory kawałek mieli stamtąd do centrum, więc spokój i cisza gwarantowane.

Czwarte zdjęcie pokazuje dojrzałego mężczyznę, pod czterdziestkę, w towarzystwie kilkudziesięciorga dzieci. Nauczyciel, dyrektor szkoły, kierownik chóru? Szukam w notatkach: zgadza się, nauczyciel! Bardzo dostojnie wyglądał w tym surducie z błyszczącą dewizką zwisającą z kieszonki. Jeśli jednak bliżej się przyjrzeć twarzy, można dostrzec uniesione kąciki ust, jakby lekki uśmiech i iskierki w oczach. Chyba dobrze mu tam było, skoro w czułym, moim zdaniem, geście złożył obie dłonie na głowach stojących najbliżej niego chłopaków. Przyglądam się przez lupę i widzę, że dłonie są jakby lekko rozmazane – czyżby w chwili zwalniania migawki mierzwił włosy dzieciakom? Jeśli to nie jakaś forma szczęścia, to na pewno można w tym dostrzec spokój i zadowolenie.

Ostatnie zdjęcie jakby ukazywało zupełnie innego człowieka, choć od fotografii z uczniami dzieli je zaledwie kilka lat. Co się zmieniło? Dlaczego ten uśmiechnięty wcześniej człowiek ma teraz wąskie, zaciśnięte usta. Oczy, zamiast błyszczeć, są zmrużone, matowe i… złe (?). Jakby coś się w nich czaiło, jakby coś ukrywał. Może go źle oświetlili? Chyba jednak nie, bo technicznie zdjęcie wygląda naprawdę dobrze. W dodatku wykonano je w renomowanym berlińskim studio Haasego i Spółki przy Unter den Linden 62. Nie, to na pewno nie kwestia techniki.

Jakby nagle zniknął gdzieś człowiek zapatrzony w ukochaną i głaszczący swoich uczniów. Czemu czoło jest zmarszczone, a dłonie zwinięte w pięści? A przecież miał powody do radości – jego piersi zdo-

bi jakiś order. Fotografię zrobiono w tym samym roku, w którym, jak wyczytałem w kserokopii ówczesnej gazety, został nagrodzony przez burmistrza Berlina Martina Kirschnera. Dostał nie tylko dyplom i order, ale też sporą sumkę złotych marek. Skąd zatem ta mina na fotografii wykonanej w samym sercu pięknego Berlina? A może to po prostu efekt gorszego samopoczucia tego dnia, niskiego ciśnienia, kłótni z żoną albo przełożonymi? Może zmókł idąc do fotografa, bo przecież listopad w Berlinie nie należy do pogodnych? Może po prostu był przeziębiony? Głupie zgadywanki.

Zagłębiłem się w odręcznych notatkach, które zostawił mi ojciec. Czytałem i miałem wrażenie, że coś mi umknęło, że przepadła któraś z kartek i przez to nie zrozumiałem całej tej historii. Jak to się stało, że w jednym roku człowiek był szanowanym wiejskim nauczycielem, a trzy lata później odbierał nagrodę za… sukcesy w tępieniu berlińskich szczurów?! Trzy razy czytałem, za co dostał tę nagrodę, nie mogąc w to uwierzyć. Jak dla mnie – to szokująca zmiana i raczej nie awans społeczny... Czy wiązała się w jakiś sposób z kilkoma stronami policyjnych dokumentów świadczących, że mój przodek bił żonę i dzieci, co zresztą stało się przyczyną rozwodu? Musiało to być naprawdę poważne znęcanie, bo w tamtych czasach nieczęsto dochodziło do rozwodów z powodu rodzinnej przemocy. Daty na dokumentach lokują ten ponury epizod gdzieś w połowie między zdjęciem klasowym, a fotografią z orderem. Policyjne raporty nie wyjaśniają jednak, czy mój antenat najpierw został szczurołapem, a potem rozwodnikiem – czy odwrotnie. Skąd wreszcie ta przemoc i od kiedy ona trwała? O ile wcześniej miło mi się oglądało zdjęcia prapradziadka, tak po lekturze policyjnych akt wzbierały we mnie najgorsze emocje. Bo to nie było bicie bezrozumnego pijaka, to nie były zbyt impulsywne i odosobnione reakcje na – bo ja wiem – rodzinne pyskówki. Policjanci z początku XX w. nie sformułowali tego wniosku wprost, ale samo nasuwało się spostrzeżenie, że ten straszny człowiek czerpał przyjemność z bicia. Szczegóły zmilczę, ohyda!

Do takiego samego wniosku doszedł dziennikarz „Berliner Tageblatt", który napisał sensacyjny artykuł z okazji tajemniczego zaginięcia mojego prapradziadka. Któregoś dnia nie poszedł do pracy – przepadł bez śladu. Nooo, niezupełnie bez śladu. Został po nim but. Znaleziono go po miesiącu w jednym z berlińskich kanałów. Wewnątrz tkwił fragment stopy mojego prapradziadka. Zdekompletowane obuwie rozpoznali koledzy szczurołapowie. Koledzy, jak się okazało w dziennikarskim śledztwie, to za duże słowo. Szczerze nie cierpieli Ludwika, a on zdaje się robił wszystko – świadomie lub nie – by ich niechęć pogłębić. Dlatego, w przeciwieństwie do reszty, zawsze pracował sam. Jego metody też nie były akceptowane przez resztę szczurobójców. Oni skupiali się na jak najszybszej eliminacji możliwie największej liczby szczurów, Ludwik zaś, zanim zabił, zadawał długie cierpienia. Ktoś podpatrzył go i opowiedział reszcie. Zaczepiony w tej sprawie miał odburknąć tylko: „nie wasza sprawa; te, które jeszcze żyją, muszą czuć cierpienie martwych – przerażone łatwiej się łapie i zabija".

Na pogrzebie stopy w bucie nie pojawił się ani jeden szczurołap, nie było też żadnych krewnych. Prócz pastora i grabarza nad mogiłą stanął jedynie żurnalista z „Berliner Tageblatt". A przyszedł chyba tylko po to, by mieć zwieńczenie do swojego sensacyjnego artykułu „Krwawa zemsta na okrutnym zabójcy szczurów?". Już wiem, od kogo nauki pobierali współcześni pismacy z brukowców.

Po tym, czego dowiedziałem się o prapradziadku, szczerze dość miałem zgłębiania historii rodzinnych. Nie chciałem wiedzieć, co jest w następnych teczkach złożonych w kartonie. Nie spaliłem ich jednak, nie wyniosłem na makulaturę. Trafiły na pawlacz.

Pięć lat później w nowym mieście, w nowym mieszkaniu, firma przeprowadzkowa sprawiła, że karton z tajemnicami rodzinnymi znów stanął przede mną. Ustawili go na stole w salonie. Usiadłem i spojrzałem na okładkę teczki – napis czarnym flamastrem „dziadek". Czyli dla mnie „pradziadek" – pomyślałem.

Pradziadek w młodości zmienił nazwisko. Drugi mąż jego matki chyba musiał zgodzić się na to, by nie jego dziecko nosiło jego nazwisko. Brzmiało po polsku. Znajomo. Nic dziwnego, bo dziś noszę je ja. Otwierając teczkę złapałem się na tym, że na ułamek sekundy zamknąłem oczy i pomyślałem: „chciałbym, by były tu lepsze rzeczy"...

Pradziadek, podobnie jak jego ojczym, został rolnikiem. Razem prowadzili gospodarstwo w dużej wsi pod Zieloną Górą, która wtedy nosiła jeszcze nazwę „Grünberg". Hodowali spore stadko mlecznych krów.

Co zostało po pradziadku? Przede wszystkim syn, czyli mój dziadek. A ponadto – dwa szkolne świadectwa, książkowy poradnik agrotechniczny z odręcznymi ołówkowymi notatkami na marginesach, trochę pocztówek przysłanych z różnych zakątków Niemiec, listy do żony wysyłane w czasie wojny, krzyż żelazny I klasy – oraz kilka zdjęć. Fotografie standardowe: ujęcia rodzinne w różnych konfiguracjach plus jeden portret pradziadka w żołnierskim mundurze. Zanim zacząłem czytać listy – ułożyłem je chronologicznie, by mieć obraz rozwoju sytuacji. Z treści pierwszych wynika, że żona była zaskoczona i wściekła jego ochotniczym zgłoszeniem do wojska. Nie rozumiała, jak mógł tak nagle porzucić rodzinę, z którą, jak jej się wydawało, był tyle lat szczęśliwy. Rzeczywiście, idąc na wojnę był już dojrzałym mężczyzną – statecznym trzydziestokilkulatkiem. Znów zaczynają się zagadki, no bo kto odgadnie, co pchnęło spokojnego rolnika, ojca dwóch córek i syna, na front. Pewnie był patriotą. Ale jeśli tak – to czemu w jego listach nie ma ani słowa o ojczyźnie, cesarzu, czy czymkolwiek takim? W kolejnych listach znika wymiana zdań z żoną, stają się one opisem żołnierskiej codzienności. W ostatnich można też znaleźć niezwykle naturalistyczne opisy walk. Okropne; jak można ukochanej – ba, jakiejkolwiek kobiecie – opisywać rozpruwanie bagnetem francuskich żołnierzy! Nawet dla mnie, nawet po tylu latach, były one przerażające. Tym bardziej, że z każdym listem stawały się coraz bardziej beznamiętne. Za to, co robił, dostał krzyż żelazny.

Korespondencja urywa się, na szczęście, w 1916 roku, gdzieś pod koniec bitwy pod Verdun. Wtedy pradziadek stracił nogę urwaną wybuchem granatu. Okrucieństwa wojny skończyły się dla niego, ale jestem przekonany, że tego nie chciał. Po rekonwalescencji wrócił do domu z drewnianą żerdzią zamiast nogi. Ale chyba nie na tym polegała najważniejsza zmiana, jaka w nim zaszła. Nie chciał już mieszkać na wsi. Znalazł pracę w mieście i zabrał ze sobą żonę i dzieci. Zamieszkali w wynajętym ciasnym mieszkaniu w kamienicy na przedmieściach. To wiem już z notatek mojego ojca, w których zapisał to, co sam zapamiętał z opowieści swojego ojca. Jest tego sporo. Z tych zapisków dowiedziałem się o powojennych losach pradziadka.

Człowiek, który kilka lat wcześniej hodował krowy, zatrudnił się w rzeźni, w której szlachtował krowy, byki i cielęta. I lubił swoją pracę! Do szaleństwa ją lubił. Zostawał w niej po godzinach, by upijać się wśród trupów bydła. Pił samotnie, grał na akordeonie tanga i głośno śmiał się do siebie. Współpracownicy, którzy szybko się o wszystkim dowiedzieli, pukali się w głowę i donosili właścicielowi. Ten jednak tolerował zachowanie pradziadka. Mówiono, że dlatego, iż pradziadek był jego frontowym kolegą spod Verdun. Prócz dziwactwa trudno mu było zarzucić coś więcej. Mimo pijaństwa – każdego dnia punktualnie stawiał się w pracy. Aż do dnia, w którym jego drewniana proteza poślizgnęła się w kałuży krwi, a jego korpus znalazł się w miejscu, w którym nigdy znaleźć się nie powinien. Byk, czekający na śmierć, zamachnął się wówczas głową i rogiem rozpłatał brzuch pradziadka. Nim sprowadzono lekarza – większość krwi wypływającej z umierającego człowieka wymieszała się ze zwierzęcą posoką na posadzce.

Następnego dnia prababcia poszła do rzeźni, by zabrać z szatni ubrania męża. Kiedy otworzyła szafkę – zemdlała. Cucący ją robotnicy zobaczyli półki, na których stały ustawione rzędami słoje pełne gałek ocznych. Łagodne zwykle krowie oczy, wyłupione z oczodołów, pozbawione powiek wyglądały za szkłem na nienaturalnie wytrzeszczone.

Unosiły się w jakiejś przezroczystej zalewie. Ani prababcia, ani jej syn, ani właściciel rzeźni nigdy nie dowiedzieli się, czemu miało służyć to, co znaleziono w szafie. Pradziadek chciał coś zobaczyć w tych oczach? Odbicie własnej twarzy, ostatniej istoty, którą widziały umierające zwierzęta? Nie wiem...

Niemożliwe, by w dziadkowej teczce mogło czekać na mnie coś jeszcze gorszego. Wyjąłem ją – prosząc w myślach, by nie okazała się kolejną puszką Pandory.

Mój dziadek został pastorem. Po tym wszystkim, czego dowiedziałem się o jego ojcu, nie zdziwiło mnie to. Szaleństwa ojca musiały się jakoś odcisnąć na dziecku i pchnąć je na niezwykłą drogę. Szczęśliwie, mimo zawieruchy wojennej i powojennej wędrówki ludów, zachowało się w kancelarii zboru mnóstwo jego kazań. Przeczytałem je wszystkie i poruszyło mnie powtarzające się w wielu z nich wołanie do wiernych o dobro dla słabych, ubogich, opuszczonych i… zwierząt! Taki byłem dumny z mojego dziadka, gdy czytałem jego płomienne słowa wzywające do ulżenia doli łańcuchowych psów przykutych dożywotnio do bud. Wyobraźcie sobie takie słowa w 1932 roku!

Kiedy do władzy doszli naziści – w kazaniach dziadka zaczął pobrzmiewać sprzeciw wobec uzależniania chrześcijańskich Kościołów od państwa. Ustawy norymberskie, które wykluczyły wiernych pochodzenia żydowskiego ze wspólnot religijnych, potępił otwarcie (za co „nieznani sprawcy" pobili go dotkliwie). Nie ugiął się jednak i dalej robił swoje. Przez pewien czas naziści tolerowali go, jednak w 1936 r. w końcu otrzymał to, na co – zdaniem sędziego – zasłużył: trafił na kilka miesięcy do więzienia jako „wróg III Rzeszy". Jego współwięźniami byli pospolici przestępcy, w tym dwóch morderców. Z pewnością był bity, bo kiedy wrócił do domu, na jego ciele wciąż widać było krwiaki. Co jeszcze spotkało go za kratami pozostanie tajemnicą, gdyż nigdy i z nikim o tym nie rozmawiał. Coś się jednak stać musiało, bo niedługo po powrocie wystąpił o członkostwo w NSDAP. Podanie trzydziesto-

siedmioletniego pastora zostało odrzucone. Nieliczni wierni, którzy dotąd sympatyzowali z jego poglądami, zaczęli szeptać za jego plecami, iż naziści złamali go. Przestali zaś zupełnie przychodzić na coniedzielne nabożeństwa, gdy zaczął na nich głosić hasła niemal żywcem wyjęte z artykułów Streicherowskiego „Stürmera". Zastąpili ich nowi wyznawcy – ci, którzy w czasie Kryształowej Nocy rzucali kamieniami w witryny żydowskich sklepów, a na nocnych wiecach masowo wyciągali prawe dłonie w hitlerowskim salucie.

Takiego ojca nie znali ani synowie, ani żona. Początkowo byli przekonani, że jego nowe zachowanie jest próbą odsunięcia zagrożenia od rodziny. Kiedy jednak pastor zaczął i do nich wygłaszać Goebbelsowskie łgarstwa, zupełnie stracili orientację. Z domu zaczęła ulatniać się miłość i atmosfera zaufania. Skończyły się rozmowy przy rodzinnych posiłkach. Zastąpiły je ojcowskie tyrady na temat wrogów państwa.

Kiedy synowie pastora dostali w końcu nieuniknione powołania do wojska, bo wojna trwała już prawie dwa lata, nie ucieszyli się. Żaden z nich nie chciał służyć tyranowi pomocą w niewoleniu innych narodów. Tak przecież wychował ich ojciec. Ten, którego znali dawniej... Ten obecny ucieszył się, że wyruszą na front! Nawet na pożegnanie nie znalazł dla synów ciepłego słowa. Wysyczał jedynie: „pozabijajcie tych wszystkich plugawców". I były to ostatnie słowa, jakie kiedykolwiek od niego usłyszeli. Nigdy więcej się już bowiem nie spotkali. Dwaj zginęli w ciągu niespełna czterech miesięcy, a trzeci wrócił do domu dopiero po wojnie.

Pastor usiedział w swoim śląskim zborze do jesieni 1944 roku, wtedy usłyszał gorący apel Führera: „Dla wzmocnienia aktywnych sił naszego Wehrmachtu – a w szczególności dla prowadzenia nieubłaganej walki wszędzie tam, gdzie wróg zechce stanąć na niemieckiej ziemi – wzywam wszystkich zdolnych do noszenia broni niemieckich mężczyzn, aby stanęli do walki". Natychmiast zgłosił się na ochotnika do

wojska i raz jeszcze poprosił o przyjęcie do partii. Do NSDAP znów go nie przyjęto, ale do wojska owszem. Kiedy zamykał za sobą drzwi opustoszałego domu, mamrotał pod nosem przekleństwa. A jedno z nich z całą pewnością dotyczyło żony pastora, która rok wcześniej uciekła od niego do Turyngii, gdzie mieszkała jej siostra. Pożegnanie mojego dziadka z domem widziała i słyszała sąsiadka stojąca przed domem. Od dawna nie dziwiła się niczemu, jako że przez kilka ostatnich lat była uważnym świadkiem przemian zachodzących w duchownym. Jeśli się czemuś dziwiła, to tylko temu, że żona tak późno porzuciła pastora. Ten zaś, przechodząc teraz obok kobiety, w odpowiedzi na jej życzliwe „lassen Sie Gott führen", rzucił tylko ponure spojrzenie. Parę metrów dalej, całkiem na pożegnanie, kopnął bezpańskiego kundla plączącego się pod nogami.

Mój dziadek pastor trafił do wrocławskiego Volkssturmu. Widać w Wehrmachcie nie chcieli podejrzanego ideologicznie człowieka, który miał w dodatku jedną nogę krótszą. Jego batalion liczył prawie czterystu ludzi. Wojnę przeżyła ponad połowa, było więc dość łatwo dotrzeć do dziadkowych towarzyszy broni. Jednak – jak się okazało – ci, których odnalazł mój ojciec, wcale nie byli chętni do wspomnień o swoim koledze z jednostki. Nabierali wody w usta, gdy tylko dowiadywali się, kim jest pytający. Dziwne było to, że o ile o swoich własnych wojennych wyczynach opowiadali dość otwarcie, to zagadywanie o dziadka zbywali frazesami. Połapawszy się w sytuacji – mój ojciec na kolejnych spotkaniach zmienił taktykę i przedstawiał się jako historyk raczej sympatyzujący z dawnym reżimem. W kilku przypadkach pomogło. Dzięki sprytowi ojca mogłem dowiedzieć się, jak skończył dziadek. Bronił oblężonego w 1945 r. Wrocławia. Ponoć palił się do zabijania Rosjan i nieustannie ostrzył bagnet sterczący przy lufie starego mannlichera.

Zgodnie z rozkazem komendantury Festung Breslau we wrocławskim ogrodzie zoologicznym zginąć miały wszystkie drapieżniki,

które w razie uszkodzenia klatki mogły zagrozić niemieckim żołnierzom. Do akcji likwidacyjnej wyznaczono Gruppe z batalionu mojego dziadka. Wyznaczona dwunastka volkssturmistów szemrała. Nie chcieli strzelać do zwierząt; kiedy jednak zagrożono im sądem polowym – poszli. Mój dziadek był w tej grupie. Im bliżej zoo byli, tym głośniej wyrażali sprzeciw wobec wyznaczonego zadania. Mogli sobie na to pozwolić, ponieważ nie było z nimi żadnego oficera, ani nawet podoficera. Prowadził ich kolega, zwykły starszy szeregowiec. Przecież nie zastrzeliłby ich za „defetyzm".

Już w zoo, zgodnie z relacją jednego z uczestników akcji, mój dziadek zaoferował, że chętnie wyręczy swoich kolegów i sam zlikwiduje zwierzęta. Wszyscy zgodzili się natychmiast, nie chcieli nawet oglądać tej egzekucji. Tylko dowódca miał wątpliwości. Zgodził się jednak i on, bo – tak jak pozostałym – nie uśmiechało mu się strzelanie do pięknych lwów. Starszy szeregowy Otmar Schultz jako jedyny z oddziału chodził z dziadkiem od klatki do klatki. Spoglądał na kartkę, na której wypisano mu listę zwierząt do zabicia, i patrzył. Częściej jednak odwracał głowę. Pierwsze padły słonie. Podchodziły blisko do ogrodzenia – jak wtedy, gdy w niedzielne poranki odwiedzały je rodziny z dziećmi. Tym razem zamiast owoców w ich stronę poleciały kule. Umierały długo; może dlatego, że dziadek nie był zręcznym strzelcem i nie wiedział, jak zabija się tak duże zwierzęta. A może chciał, by cierpiały. Ryk przepełniony bólem niósł się po całym zoo. Kolejne ofiary – jakby wyczuwając nadchodzącą zagładę – nie podchodziły już blisko, kryły się w zakamarkach wybiegów, kuliły się w kątach klatek. Mimo to ginęły jedno po drugim. Jedne z głośnym skowytem, inne cicho patrząc tylko w oczy oprawcy. Pozostały jeszcze tylko tygrysy nerwowo biegające w tę i z powrotem. A między nimi jedno małe, stojące w miejscu, jakby zagubione, niczego nie rozumiejące tygrysiątko. Kiedy trójka dorosłych osobników leżała już bez ruchu, dziadek miał głosem pozbawionym wszelkich emocji spytać dowódcę: „małego też?". Ten skinął tylko

z głową. Maluch nagle jakby ożył, zerwał się do pokracznego biegu i ukrył się w jednej z wielkich drewnianych bud, w których zwierzęta nocowały. Strzelanie do nich nie przyniosło efektu, kociątko skryte za deskami ciągle żyło, dawało o sobie znać przerażonym skrzeczeniem nawołującym rodziców. Po kilkunastu nieudanych próbach trafienia poprzez ścianki dziadek postanowił wejść do środka i z bliska rozprawić się z oporną ofiarą. Kiedy był dwa metry od bud – z otworu wejściowego jednej z nich bezgłośnie wyskoczyła tygrysica. Człowiek nie miał szans na reakcję. Mundur pociemniał błyskawicznie, gdy z rozszarpanej pazurami i kłami szyi wypłynęła krew. Starszy szeregowy Otmar Schultz patrzył na tę scenę trzymając karabin w garści. Nie podniósł go jednak w obronie podkomendnego. Tego dnia nie padł już w zoo ani jeden strzał.

W kartonie skrywającym rodzinne tajemnice pozostała mi do przeczytania jeszcze tylko zawartość jednej z kopert. Była zaklejona. Swoimi charakterystycznymi kulfonami ojciec zaadresował ją do mnie najkrócej, jak się dało – napisał: „Do mojego syna". Wiedziałem o niej od dawna, ale czytać jakoś nie chciałem przez te wszystkie lata. Spodziewałem się znaleźć w niej prośby o przebaczenie i tłumaczenia, dlaczego nas opuścił. Przez całe życie uważałem go za tchórza i nie miałem ochoty zmieniać tej opinii. Wiele razy miałem w rękach tę kopertę. Rozerwałem ją dopiero teraz, po upływie trzynastu lat od chwili, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem.

Tak jak się spodziewałem – prośby o przebaczenie i tłumaczenia. Ale, co mnie zaskoczyło, nie było w tym żadnego szantażu emocjonalnego, taniej łzawości. Kolejne zdania wiązały w spójną całość to, czego dowiedziałem się z kartonowych zapisków rodzinnych. Logika tego wywodu była szalona - ale czy wszystko, co działo się przez ostatnie stulecie z moimi przodkami, ma proste wyjaśnienie? Ja nie umiałem go dostrzec. Mój ojciec dostrzegł. A to, co stało się później, to co zrobił – było prostą konsekwencją.

Nic nie stało się nagle, a proces postępował nieubłaganie. Mój ojciec dostrzegł pierwsze zmiany w trzydziestym czwartym roku swojego życia. Nie potrafił zidentyfikować żadnego impulsu, który mógłby je zainicjować. Wiedział, że coś się dzieje, obserwował to z laboratoryjną precyzją i opisywał. Zebrał sporo materiałów o naszych przodkach, dość by móc porównywać siebie do tego, co dostrzegł u nich. Wniosek: ten sam lub bardzo podobny kierunek zmian. Z kochającego rodzinę romantyka, poety, miłośnika podróży i przyrody – stawał się istotą zgorzkniałą, złą, żywiącą pogardę dla otaczającego ją świata. Opisywał to obrazowo jako wypełnianie jego ciała lepką, czarną, cuchnącą mazią. Odczuwał ją wręcz fizycznie. Kiedy już wypełniła stopy – sprawiała, że mimowolnie poszturchiwał koty nogami. Jeszcze tylko poszturchiwał; lecz czuł, jak z każdym tygodniem jego ciało chce wymierzyć kopniaka. Umysł jeszcze to kontrolował. Tak, ale było coraz gorzej. Zaczynał przeklinać, kłamać, złorzeczyć. Wiedział, że traci kontrolę nad swoim życiem, nad sobą. Próbował się ratować – lecz ani farmakologia, ani ciągnąca się miesiącami psychoterapia niczego nie zmieniały. A on wciąż się zmieniał.

Decyzję podjął, gdy poczuł, że czarna maź wypełnia go już po szyję, a jego wola przestaje panować nad nakazami kleistej brei. To był dzień, w którym żaden z naszych sześciu kotów nie chciał do niego podejść. Nawet ten najbardziej łasy na pieszczoty. Wszystkie ominęły go dużym łukiem i uciekły na ogród. I, póki był w domu, nie chciały wrócić. Patrząc na nie – zebrał wszystko, co wiedział o naszej rodzinie: zapiski, notki, nagrania rozmów, zdjęcia, artykuły, dokumenty, wspomnienia. Spakował je do kartonu, dołożył list do mnie i odszedł. Na lustrze napisał szminką żony: „kocham was". Miał na imię Franciszek.

Teraz ja zostałem z tym dziedzictwem. Sam.

Krzysztof Szkurłatowski

II miejsce

Zosia

- Gienek! Gieeenek!- dało się słyszeć wołanie. Zosia niechętnie podeszła do okna. Zgrabnym ruchem rozprostowała grubo utkaną firanę. Szukała przetartego oczka w zasłonie Dzięki molom dziura nadawała się do obserwacji podwórka pana Gienka. Zosia nazwała ją swoją lunetką, przez którą wszystko widzi i może kiedyś o tym opowie…

Czasami dziura tworzyła tunel dla słońca. Wtedy w małym i ciemnym pokoju ożywały drobinki kurzu - tańczyły w smudze światła, wirowały nawet. Zosia wsuwała swoją dziewczęcą rączkę w smugę srebra i próbowała zachować rytm. Drobna rączka była primabeleriną, tańczyła kolejne antrre lub pas de deux. Zosia nie pamiętała tych trudnych nazw, były po francusku. Potrafiła zatracić się w tańcu tak mocno, że słyszała muzykę. Nuty jednak stopniowo cichły, by przepaść gdzieś… w otchłań... By wreszcie zupełnie ich nie było.

- Gieneeek, chodźże!! Zobacz, co ten głupek zrobił! - usłyszała znów z oddali.

Zosię denerwowało, że nie widzi nic poza panią Adelą, która była, jak zawsze, bardzo spocona. Nawet zimą głowa jej parowała, a włosy były w strąkach. Bawiło to Zosię, bo w miejscu głowy sąsiadki widziała garnek z kartoflami. Było jej czasem żal tej kobiety. Pani Adela na pewno nie wie, że Zosia nieraz widziała, jak pan Gienek obmacywał żonę. Ich dzieci stały tam wtedy i patrzyły. Zosia nie wie, co się dalej działo. Nie chciała wiedzieć. Siadała do stolika. Żółty zeszyt wypełniony był notatkami. Nie lubiła pisać słowa *obmacywał.* Gdzieś je słyszała i zapamiętała. Wiedziała, że na pewno nie pasuje do dzieci.

- Cco się drz- drz- esz głupia babo! – Pan Gienek niechętnie wygramolił się z sieni. Był wysoki, chudy i stary. Włosy zaczesywał do tyłu. Jąkał się. Zosia słyszała, jak ludzie we wsi kłócili się o to, czy jąkała może być radnym. Bo pan Gienek chciał być radnym. Zbierał podpisy, dużo ich potrzebował. U rodziców Zosi też był. Matka zaproponowała kawę, ale odmówił. Spojrzał wtedy na Zosię tak, jak ona nie lubiła i powiedział, że ładna pannica z niej wyrośnie. Rodzice dziękowali wtedy za miłe słowa. Wspomnieli, że przecież córki pana Gienka też niczego sobie, że pomocne, pracowite. Zosia uciekała wtedy do pokoju. Wstydziła się złej myśli. Chodziła przecież do kościoła. Mogłaby nie dostać rozgrzeszenia i pójść do piekła. Pomyślała, że podłe pragnienie może na razie zamieszkać w żółtym zeszycie i nikt się nie dowie. Napisała wtedy: *„Chcę, aby pan Gienek umarł, nienawidzę go".*

- Idźże do taty, idźże do taty, nie bój się, Bronek nie bój się, tata nic ci nie zrobi - Kasia, Jasia i Basia ciągnęły brata. Bronek zapierał się nogami, krzyczał. Chłopiec tracił siły, aż w końcu przestał wyć i kopać siostry. Zosia widziała pięść pana Gienka. Bronek leżał na ziemi i mamrotał. Zosia wiedziała, że Bronek był chory. Nie mówił, tylko bełkotał, chodził jakoś tak dziwnie, że często się przewracał. Zosia widziała Bronka, jak sikał w majtki na widok swojego taty. Pan Gienek skarżył się nieraz, że ta mamląca pokraka na pewno nie jest jego synem.

Pan Gienek uderzył dzisiaj Bronka, Bronkowi leciała krew. Nie wiem, dlaczego zbił Bronka. Jak się dowiem, to napiszę. Mogłabym pomóc Bronkowi, ale jestem na niego zła. Wczoraj tam mnie dotknął. Zrobił to tak, jak jego tata. Jego tata dotyka tam Jasię, Kasię i Basię. Boję się.

* * *

Zosia zręcznie wygładziła niedzielną sukienkę. Schody, na których siedziała, przypominały pełną bruzd twarz babci Jadzi. Mama mówiła, że babcię Jadzię poorało ciężkie życie. Zosia często widziała swojego tatę, jak chodził za pługiem w tę i we w tę. Koń Kuba ciągnął pług. Zosia nigdy jeszcze nie słyszała, żeby ktoś nazywał konia *ciężkim życiem.*

- Zoćka, Zooćka! - uradowany widokiem dziewczynki Bronek przybiegł do płotu.

- Idź sobie! - Zosia rozciągnęła sukienkę poniżej kolan – Mówiłam przecież, że masz się do mnie nie zbliżać!

- Zoćka, o mam! - Bronek trzymał w ręku robaka. Machał nim na tyle, że Zosi zrobiło się żal stworzenia. Pani w szkole powtarzała, że powinno się dbać o przyrodę, chronić najmniejszych, nawet jak są włochate czy oślizgłe.

- Wyrzuć - rozkazała - To stworzenie Boże, tak jak ja i ty! Wyrzuć Bronek, nie męcz tego robaka! - Zosia z uwagą przyjrzała się chłopcu. Bronek często chodził z otwarta buzią, ślina spływała mu z kącików ust, czasami wycierał ją rękawem, tym samym od smarków. Tego dnia miał na sobie czystą koszulę.

- Do kościoła pewnie tak cię wystroili, co?- Zosia wyjęła batystową, wyprasowaną przez mamę chusteczkę. Chciała wytrzeć Bronkowi buzię, ale żal się jej zrobiło tej ślicznej, różowej chusteczki w drobne różyczki.

- Poczekaj na mnie, zaraz wrócę. - Bronek dopiero po chwili zauważył zniknięcie dziewczynki. Nerwowo wypatrywał jej pomiędzy sztachetami ogrodzenia.

- Zoćka, Zoćka! Zooоćka! - Zosia usłyszała nerwowe wołanie Bronka. Chwyciła kawałek płótna. Musiała najpierw lekko nadgryźć materiał, bo płótno było zbyt twarde, by jednym szarpnięciem zrobić chusteczkę. Takie gałganki często nosił jej ojciec zamiast chusteczek. Matka prała i gotowała je w wielkim garnku z pościelą. Nie prasowała i nie krochmaliła, bo ojciec narzekał, że gałgan jest zbyt twardy i drapie w nos.

- Bronek, weź! - przez szparę w płocie z trudem przecisnęła dłoń. Ręka Bronka z łatwością weszła i wyszła. On miał chudsze ręce niż ona. Po raz pierwszy Zosi zrobiło się żal chłopca.

- Wytrzyj tym buzię, a potem schowaj do kieszeni. Będzie na później.

- Zoosia, Zosia! Chodźże! Do kościoła już czas jechać.

- Idę już mamuś.

Ojciec chwycił lejce. Konie ruszyły. Zosia była ciekawa, co z Bronkiem. Stał tam, gdzie go zostawiła z gałgankiem. Wycierał nadal twarz tak, jakby chciał zetrzeć wszystkie utrapienia swojego życia. Zosia nudziła się w kościele. Lekceważyła te wszystkie świętości, które na nią patrzyły z figur i obrazów, bo babcia Jadzia zawsze mówiła, że powinna się bać żywych, a nie umarłych.

- A pana Gienka też? - zapytała kiedyś Zosia.

- Pan Gienek to porządny człowiek, ciężko pracuje. Znam go od takiego - charakterystyczny ruch ręki wskazywał, że rzeczywiście pan Gienek musiał też kiedyś być małym, bezbronnym chłopcem. Często dostawał lanie od swojego taty. Pewnie dlatego się jąka.

- Pan Gienek dostawał lanie? - Zosia nie mogła wyjść z podziwu, że ktoś taki jak on mógł mieć tatę i dostawać lanie. Przecież to pan Gienek bił.

Zosia nie znosiła zapachu kościelnych kadzideł. Mdliło ją, ale nie odważyłaby się wyjść z kościoła. Mama byłaby zła, że przeszkadza księdzu we mszy. Czasami Zosię w kościele wszystko swędziało, musiała się wtedy co chwilę drapać, ale nie było to takie łatwe, bo jak niezauważalnie podrapać się w piętę? Matka co chwilę szturchała córkę w bok. Wreszcie Zosia nie mogła wytrzymać.

– Siku chcę, mamo. Twarz matki zrobiła się czerwona. Przytaknęła tylko i dalej zatopiła się w myślach – tak wydawało się Zosi.

Zosia z ulgą opuściła kościół. Wzbudziła tym zainteresowanie innych znudzonych dzieci. Musiała poszukać jakiegoś dyskretnego miejsca. Obeszła kościół, ale ciągle ktoś się kręcił na kościelnym cmentarzu. Obsikała prawą nogę. Żółtawa plama odznaczała się na białej skarpetce. Na nic się zdało wycieranie chusteczką w czerwone różyczki. Zosia postanowiła jeszcze przez chwilę postać w tym miejscu. Lubiła cmentarze. Fascynowały ją zwłaszcza małe groby. Przykościelny cmentarz był malutki, więc obejście wszystkich mogił zajęło zaledwie kilka chwil.

Księdza już nie było na ambonie. Krzątał się wraz z ministrantami wokół tabernakulum. Ludzie spiesznie podchodzili do ołtarza.

- Gdzieś ty tak długo była? – matka Zosi nie kryła zdenerwowania.

- Nie mogłam znaleźć miejsca, wszędzie byli ludzie, musiałam iść w krzaki - Zosia skłamała. Bała się karcącego wzroku mamy.

Tłum opuszczał kościół. Zosia próbowała znaleźć Bronka. Puściła rękę mamy, pobiegła w stronę samochodów. Pan Gienek czekał przed warszawą. Pani Adela gramoliła się na miejsce obok kierowcy, dziewczynki wygodnie siedziały z tyłu. Bronka nie było.

Chyba lubię Bronka. On ma takie małe ręce. Mniejsze od moich. Myślę, że on mnie też lubi. Wybaczyłam mu. Bronek nie był w kościele. Pan Gienek powiedział mojej mamie, że nie było dla Bronka miejsca w samochodzie. Mój tata jest inny. Zawsze zostawia miejsce obok siebie.

Nie lubię pana Bronka, pani Adeli, dziewczynek też nie lubię.

Zosia wypatrywała Bronka. Chciała obserwować podwórko zza firanki, ale mama postanowiła firankę uprać i zszyć. Płot z licznymi szparami okazał się równie dobry na obserwację. Z nudów obłupała zeschniętą korę ze sztachet. Rodzina szczypawek pozbawiona schronienia próbowała znaleźć jakieś inne miejsce. Kilka upadło na ziemię. Wreszcie dojrzała Bronka. Był brudny. Zosia zauważyła zeschnięta krew zza naderwanego ucha. Chłopiec wyszczerzył zęby na widok Zosi. W ręku trzymał wczorajszy gałganek.

- Zoćka, Zoćka! Mam!

- Chodź, coś mam dla ciebie – wspięła się na płot. Malutka dłoń Bronka z trudnością obejmowała jabłko.

- To z naszej jabłonki, tej przy stawie. Tam, gdzie pływają kaczki.

Bronek z rozkoszą zatopił zęby w zielonej skórce. Sok prysnął wprost na nos chłopca. Szybkim ruchem wytarł go szarą szmatką. Zosia wyjęła drugie, równie wielkie jabłko. Sok kapał po brodach. Zosia wycierała rękawem, Bronek gałgankiem.

- Broonek! Do domu, ale już! – jedna z sióstr z ganku zawołała,

Bronek ani drgnął. Obracał jabłko, gryzł, lizał, wąchał. Szara szmatka spadła na ziemię. Zniecierpliwiona Kasia podbiegła do chłopca. Z całych sił szarpnęła za rękaw. Nadgryzione jabłko wpadło w piasek. Bronek płakał.

- Nie rycz, głupku, tata się najadł. Teraz możemy jeść. Chodź, bo nam wszystko zjedzą.

Opowiedziałam mamie o dzisiejszym dniu. Nie dziwiła się ani trochę. Wiedziała o tym, że dzieci pana Gienka nie siedzą przy stole z rodzicami. Opowiedziałam mamie, że Bronek miał krew za uchem. Wtedy mama posmutniała. Powiedziała, że Bronek ma ciężkie życie, a jest tylko małym, chorym dzieckiem. Wtedy wyjawiłam mamie to, co widziałam. No, o tym obmacywaniu. Mama spojrzała na mnie dziwnie, a potem poszła coś powiedzieć tacie. Tata zrobił się czerwony. Nie chciałam go zdenerwować. Ani przestraszyć mamy. Po co ja to powiedziałam?

Zosia miała unikać sąsiadów. Próbowała przekonać mamę, że Bronek już od dawna jej tam nie dotyka. Powiedziała mu przecież, że tak nie wolno robić, bo pójdzie do piekła. Matka krzyknęła tylko: *To on też!?* Pobiegła do ojca na podwórko. Mężczyzna rąbał drewno. W pewnym momencie rzucił siekierę. Oboje wpadli do domu. Zakazali jej wychodzić z domu bez pozwolenia.

Na oknie znowu wisiała grubo utkana firanka.

Bronek codziennie siedział pod płotem. Na pewno czekał na mnie. Później przychodził tylko na chwilę. Chciałam, żeby coś wiedział. Bronek, jak będę duża, to cię stąd zabiorę.!! Nie wiem, dokąd pojedziemy. Na pewno daleko od twojego domu. Do miejsca, gdzie ktoś ciebie polubi tak jak ja. Ale najpierw usiądziesz ze mną i moimi rodzicami, i zjemy obiad.

W sadzie mojego wujka będziemy leżeć na trawie i jeść jabłka. Te największe! To będzie nasz deser. A w sadzie zawsze dużo motyli. Złapiemy kilka, ale potem je wypuścimy, dobrze? To takie małe, bezbronne Boże stworzenia, tak jak ja i ty. One też lubią jeść jabłka.

Bogumiła Richert

III miejsce

Lekcja współczucia

Dopóki człowiek nie obejmie współczuciem wszystkich żywych stworzeń, dopóty sam nie będzie mógł żyć w pokoju.

Albert Schweitzer

Tego nikt się nie spodziewał. Przecież jak dotąd od momentu, gdy w siedemnastym wieku osiedlił się tu niezbyt zamożny szlachetka nazwiskiem Pomorzak, dając tym samym początek Pomorskiej Wsi, aż do dziś, a upłynęły już cztery wieki, nic podobnego się tutaj nie wydarzyło. Prawdę mówiąc, nie działo się tutaj właściwie nic, a w każdym razie nic godnego uwagi.

A teraz? Gdy Józef Szreder wyszedł sobie jak każdej wolnej soboty na ryby nad pobliskie jezioro i gdy na miejscu zobaczył to, co zobaczył, w pierwszej chwili był przekonany, że wciąż trzyma go wczorajsza wódka.

– A to żem zachlał, nie ma co! – mruknął do siebie i aby oprzytomnieć, ochlapał twarz wodą z jeziora. Woda była przyjemnie chłodna, pomimo utrzymujących się od kilku dni upałów. Ale gdy się odwrócił, porażający widok wcale nie zniknął.

– Jezu Chryste…! – wycharczał Szreder, robiąc jakiś nieokreślony znak w powietrzu, co zapewne miało być znakiem krzyża.

Ale gdy i ten egzorcyzm nie podziałał, rzucił się do ucieczki, zostawiając za sobą jezioro, wędkę, słoik pełen robaków i wiadro na ryby. Na szosie spotkał sołtysa Janka Hirsza. Janek był młody, dużo młodszy od Szredera, w dodatku był synem kolegi z klasy Szredera, którego ten

szczególnie nie lubił. To dlatego Józef często wypowiadał się o młodym sołtysie z pogardą. Ale teraz zapomniał o uprzedzeniach. Obiema pięściami wszczepił się w koszulkę na piersi młodzieńca.

– Genek… Genek… Tam… Tam… – bełkotał, wskazując las.

– A pan znowu pijany! Mam na imię Janek. – Sołtys na próżno próbował oderwać od siebie wielkie pięści sąsiada.

– Tam jest Genek Okrojów! Całkiem martwy! – wykrzyknął wreszcie, tak, jakby bez słowa „całkiem" ktoś mógłby pomyśleć, że trup jest nieco bardziej żywy. W rzeczywistości „całkiem" odnosiło się do tego, *co* Szreder zobaczył. Gdy młody sołtys dotarł na miejsce, biegnąc za potykającym się o korzenie przewodnikiem, pojął natychmiast, że można być „tylko martwym" lub „całkiem martwym".

Genek Okrój był z całą pewnością tak martwy, jak tylko pozwalała na to biologia. Leżał nagi pod jednym z drzew. Ciało miał posiniaczone i pokrwawione do tego stopnia, że z trudem można było rozpoznać rysy twarzy, a ręce i nogi poskręcane w nieludzki sposób, zapewne połamane i wyrwane ze stawów. Odcięty członek leżał obok w trawie. Odór krwi wzbudzał torsje. Mimo to ciało nie mogło leżeć tu zbyt długo, nawet nie jedną dobę, bo w tych upałach szybko zaczęłoby się rozkładać, a teraz jeszcze nie śmierdziało. Morderstwo musiało wydarzyć się tej nocy.

– Jezu Chryste… – odezwał się młody sołtys, nieświadomie powtarzając słowa poprzednika. – Trzeba zadzwonić na policję… – Zanim sięgnął po telefon, zwymiotował ledwo dwa kroki od zmasakrowanych zwłok.

Radiowóz policyjny zajechał na miejsce po pół godzinie, mimo że Pomorską Wieś od Wejherowa dzieliło ledwo dziesięć kilometrów. Ale jak widać, policjantom niespecjalnie się spieszyło. Jeszcze mniej spieszyło się prokuraturze, która zjawiła się po upływie godziny.

– Co tu mamy? – zapytał starszy z prokuratorów, podchodząc bliżej. Był wysoki i ponury, o ziemistej cerze, przypominał chodzącą śmierć, której zagadki tyle razy wyjaśniał.

– To, co widać – odburknął podinspektor Grzenkowski. Udawał ogromnie pochłoniętego obserwowaniem, jak jego chłopcy zabezpieczają zwłoki.

– Kto by pomyślał. Taka spokojna wioska. Takie malownicze krajobrazy. Od lat cisza. A tu nagle scena jak z amerykańskiego horroru – mruczał prokurator ni to do siebie, ni do podinspektora, ni w powietrze, z zainteresowaniem zapatrzony w zwłoki.

– Znaleźliśmy przy nim tę kartkę. – Posterunkowy Witt podbiegł usłużnie do prokuratury z pomiętą kartką papieru w ręce. Z daleka rzucały się w oczy krwistoczerwone litery. Podinspektor Grzenkowski przeklął niewybrednie w myślach. Cholerny młody Witt! Że też musiał się podlizywać prokuraturze!

– Witt! Taśma się oderwała! – huknął.

– W którym miejscu? – Chłopak bezradnie rozglądał się po idealnie rozciągniętej taśmie ogradzającej teren, w którym znaleziono ciało.

– Rusz tyłek i sprawdź!

– No proszę, proszę – mruknął prokurator zajęty lekturą. – „Lista przewinień. Jeden: popychanie, bicie, kopanie żony. Dwa: wyzywanie żony. Trzy: gwałty na żonie. Cztery: znęcanie się nad psem i krową". A do tego piękne motto: *„Dopóki człowiek nie obejmie współczuciem wszystkich stworzeń, dopóty nie będzie mógł żyć w spokoju".* No proszę, proszę – powtórzył. – Zdaje się, że mamy już winnego.

– Nie wiemy, czy to na pewno żona – sprzeciwił się Grzenkowski.

– Ja tam bym nie chciał takiej starej – odezwał się inny z policjantów, aspirant Tryzna. – Jakbym chciał seksu, a ona by nie chciała albo by mi napyskowała i bym ją uderzył w pysk… to znaczy w twarz, to ona by mnie za to zaszlachtowała? Nie, dzięki!

Prokurator spojrzał na podinspektora z triumfem.

Halina Okrojowa trafiła do aresztu. A dwie noce później sołtys znów wezwał policję do małej, spokojnej Pomorskiej Wsi. Tym razem dwie zbieraczki jagód zapuściły się głęboko w las i odkryły zwłoki młodej dziewczyny.

– To było coś strasznego! Coś strasznego! – opowiadała z lubością jedna z amatorek jagód swojej sąsiadce. Oczywiście, kiedy już doszła do siebie, bo pierwsze godziny spędziła na tapczanie prawie bez czucia, a mąż nie wiedział, czy dzwonić po karetkę czy po psychiatrę.

– Idziemy my sobie do lasu, proszę ciebie. Poranek piękny, wymarzony na jagody, ani za ciepło, ani za zimno. Zbieramy sobie te jagódki, mamy już pełne wiadro, patrzymy, czy aby nie zbliża się straż leśna gdzieś, bo wiesz, my używamy tych grabek, co to nie wolno ich używać, bo niszczą runo leśne czy coś takiego. Ale bez tego to tylko się namęczysz, a tak rach-ciach, rach-ciach! No i Renia mówi do mnie: „Chodź jeszcze tam głębiej, tam dawno nie byłyśmy". Idziemy, a tu coś strasznie cuchnie, proszę ciebie. Idziemy dalej, a tu trup! Taka miazga pogryziona przez zwierzęta i przez ptaki podziobana, flaki na wierzchu, ale po ubiorze poznać, że to dziewczyna, bo spódniczkę mini miała, szpilki i koronkową bluzeczkę. Renia zemdlała jak długa. A ja w nogi! Na podwórzu padłam na męża. Podobno cała sina byłam na twarzy z tego przerażenia, tak mówił. To było coś strasznego, proszę ciebie. Coś strasznego! Nie wiem, czy jeszcze kiedyś będę po tym zupełnie normalna.

Sąsiadka pomyślała, że co jak co, ale stara plotkara Bieszkowa nigdy normalna nie była, więc pogorszenie jej raczej nie grozi. Ale nie powiedziała tego na głos.

Dziesięć kilometrów dalej w Komendzie Policji w Wejherowie podinspektor Grzenkowski rwał sobie z głowy ostatnie włosy. Nie widział rozwiązania zagadki dziwacznych, rytualnych mordów.

- To musi być jakiś fanatyk…! – powtarzał nieustannie, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Miał przed sobą kopie obu listów znalezionych przy ciałach. Na liście, który ściskała w ręku dziewczyna, morderca napisał czerwonym atramentem: „Lista przewinień. Jeden: porzucenie nowonarodzonego dziecka w lesie. Dwa: zabicie dziecka w łonie. Trzy: utopienie młodych

kociąt. *„Dopóki człowiek nie obejmie współczuciem wszystkich stworzeń, dopóty nie będzie mógł żyć w spokoju”.* Zdjęcia obu ciał, zarówno Eugeniusza Okroja, jak i Izaury Kiełbasy, wskazywały, że ofiary zginęły w sposób adekwatny do swoich win. Okrój miał na ciele ślady ciosów zadanych pięścią, kablem i ciężkimi buciorami, w dodatku obcięto mu członek, a Izaura (co za imię! i to z takim nazwiskiem: Kiełbasa! te wszystkie Wanesy, Dżesiki i Kasandry to nowomoda serialowa da pozbawionych wyobraźni rodziców!) miała rozpruty brzuch, usta zalane wodą i została porzucona na pastwę leśnym zwierzętom. Według sekcji zwłok to Izaura zginęła wcześniej.

Rozległo się pukanie do drzwi i do dusznego, zakurzonego gabinetu wsunął się sierżant sztabowy Merchel. Niósł w ręku raport.

– Co o tym myślisz? – zagadnął podinspektor, tak tylko, by usłyszeć postronną opinię, bo własnych myśli, zakurzonych jak ten gabinet, miał już serdecznie dość.

– To jakiś fanatyk – powiedział bez zająknięcia Merchel. Cóż, wszyscy w komendzie znali już zdanie podinspektora na ten temat.

– A dlaczego?

– Noo… – Przyciśnięty do ściany musiał wykrzesać z siebie własne zdanie. – Bo kto by zabijał o takie rzeczy? Rozumiem jeszcze tego noworodka w lesie, to może budzić chęć tego, no, odwetu, ale niech pan pomyśli: znęcanie się nad krową? Topienie kotów? Gdybym nie topił kotów, to by się rozpleniły jak myszy!

– Topisz koty? – zapytał podinspektor ciekawie.

– Każdy topi.

– I znęcasz się nad psem?

– Nie! Mój pies ma budę i michę jedzenia!

– Ale pewnie jest na krótkim łańcuchu, a buda to dziurawa zbitka desek?

– Zaraz dziurawa – obruszył się. – Łatę muszę z tyłu przybić, bo wyrwał skur… skubaniec. A długiego łańcucha mieć nie może, bo by kurczaki teściowej wyduszał.

– To po co wam właściwie pies?

– Jak to po co? A kto by resztki zjadał?

Podinspektor zmarszczył brwi.

– Zejdź mi z oczu! – warknął. A gdy sierżant sztabowy był już w drzwiach, zawołał za nim: _ I przybij dziś tę łatę, zrozumiano?!

– Tak jest.

Grzenkowski został sam. Pogrążył się w ponurych rozmyślaniach. A może… może ten fanatyczny morderca ma jednak trochę… odrobinę racji?

Radny Paweł Wyca, najważniejsza persona w Pomorskiej Wsi tuż po sołtysie, a może nawet tuż przed nim, wrócił do domu wyraźnie wzburzony. Żona struchlała, gdy zobaczyła go w takim stanie. Bezbłędnie rozpoznała tę grubą żyłę pulsującą u jego grubej szyi i opętańczy wzrok. Zaraz wybiegła z kuchni na korytarz, by podać mężowi kapcie. Z tego pośpiechu potknęła się w progu.

– Gdzie ty masz oczy, kobieto? Garnitur byś mi wybrudziła! – warknął Wyca i gwałtownie wydarł swoje kapcie z ubielonych mąką rąk żony. – Co masz takie brudne łapy?

– Makaron robię – odpowiedziała cicho, nie śmiejąc podnieść oczu.

Wyca tylko machnął ręką i minął żonę bez słowa. Rozparł się na krześle w kuchni.

– Kawy byś zrobiła, a nie tak się kręcisz bez celu. A gdzie Łukasz? Pewnie znowu się szlaja po wsi, zamiast się uczyć!

– Wakacje są…

– I co z tego, że wakacje? Ja nie mam wakacji, nigdy nie miałem wakacji! On też by się za robotę jakąś mógł zabrać, a nie, debil jeden, wciąż doi ze mnie pieniądze. Nic z tego lenia śmierdzącego nie będzie! – Machnął ręką i zamyślił się przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w okno. Szybko jednak wrócił do rzeczywistości.

– Gdzie ta kawa? – warknął.

Żona postawiła przed nim parujący kubek kawy z cukrem i śmietanką, tak jak lubił.

– Wiesz, co się stało? – zapytał. Bezsensownie, bo przecież nie mogła wiedzieć, gdy całymi dniami siedziała w domu, wychodząc tylko do najbliższego sklepu po zakupy. Ale wyraźnie oczekiwał odpowiedzi, więc odparła cicho:

– Nie wiem.

– Ten sukinkot zabił Piotra Lejka! Piotra Lejka, rozumiesz?

Kobieta przycisnęła obie dłonie do ust, jakby chciała zdusić okrzyk.

– Nie rozumiem, o co chodzi – ciągnął mąż tymczasem. – Ta dzieciobójczyni spod lasu i ten pijaczek Okrój to jeszcze rozumiem. Bo im się należało. Okrój to był kawał gnoja, pożyczyłem mu kiedyś pięć dych, pamiętasz? Do dziś nie oddał. I nie odda już, chyba że jego stara będzie miała więcej honoru, choć niewiele można oczekiwać od baby. Ale Piotr Lejk? Piotr Lejk?! – wykrzyknął ku niebiosom z pretensją, jakby niebiosa mogły mieć coś wspólnego z mordercą z Pomorskiej Wsi. – To był porządny biznesmen! Masę razy finansował nasze urzędowe imprezy. My go za to wprawdzie ustawialiśmy odpowiednio w przetargach, ale przecież coś za coś, w tym świecie nie ma nic za darmo. A tu teraz zamordowany! I to jak? Zagłodzony na śmierć we własnej piwnicy!

– To za te ustawione przetargi go zabili?

– Głupia jesteś! I nie mów o tym głośno, teraz po tych morderstwach wszędzie kręci się pełno dziennikarzy! Nie za przetargi, tylko za „niepomaganie bliźnim" i „pognanie bezdomnego psa" czy jakoś tak. Tak było napisane na kartce, którą miał przy sobie. To jakaś paranoja! I jeszcze taki dziwny cytat… zaraz, jak to leciało…

– „Dopóki człowiek nie obejmie współczuciem wszystkich stworzeń, dopóty nie będzie mógł żyć w spokoju" – odezwała się żona tak cicho, że usłyszało ją tylko ciasto na makaron, które wprawnie wygniatała na stolnicy.

Wyca nie usłyszał. Wstał, aż krzesło jęknęło z ulgą, po czym wyszedł na podwórko, by odetchnąć świeżym powietrzem i przemyśleć sprawę śmierci Lejka. Nie można powiedzieć, by się przyjaźnili (Wyca nie miał właściwie przyjaciół poza kilkoma kumplami od wódki, bo nikomu nie ufał), ale darzył szacunkiem tego mrukliwego, skąpego Lejka. Poza tym potrzebował go w urzędzie.

– Do kurwy nędzy, teraz nic nie będzie takie samo! – przeklął rozzłoszczony i żeby wyładować gdzieś frustrację, kopnął wilczura uwiązanego przy budzie. Pies ze skowytem schował się w nędznej budzie.

Kiedy w piątek popołudniu na poboczu tuż przed wjazdem do Pomorskiej Wsi przypadkowy podróżny natknął się na zaparkowanego jeepa z nieprzytomnym, jak mu się zdawało kierowcą i zawiadomił karetkę, a potem okazało się, że kierowca, którym był Paweł Wyca, nie żyje, cała Pomorska Wieś zawrzała.

– Był obwiązany łańcuchami tak mocno, że się udusił – relacjonował jeden z miejscowych ochotniczych strażaków, którzy również zostali wezwani na miejsce.

– I poturbowany, jakby go ciągnięto końmi – dodał drugi.

– A czy to prawda, że znaleziono przy nim kartkę jak przy innych trupach? – pytał ciekawie jeden z obecnych w barze mężczyzn.

Na chwilę zapadła cisza, bo znieruchomieli wszyscy klienci, których dziś było wyjątkowo sporo jak na mały wiejski bar, czy raczej „pijalnię", bo tak tutaj to miejsce potocznie nazywano. Znieruchomiała nawet kelnerka w skąpej sukience, stojąca za ladą, a trwanie bez ruchu było dla niej wyjątkowo niełatwe, gdyż jeden z podchmielonych klientów właśnie trzymał ją za pośladki. Tylko kilka much uparcie brzęczało między stolikami, nieświadome powagi sytuacji.

– Tak. To była lista przewinień. Że źle traktował żonę. Że znęcał się nad synem. Że bił psa. Że oszukiwał w urzędzie. – Cichy głos strażaka słyszeli chyba nawet przechodnie po drugiej stronie ulicy, bo zda-

wało się, że cała Pomorska Wieś zastygła, by to usłyszeć.

– Kto by pomyślał. Taki porządny człowiek – mruknął ktoś z tłumu stłoczonego wokół stolika strażaków.

– O co chodzi temu mordercy? Kto będzie następny? – zapytał brodacz, który trzymał kelnerkę za pupę.

– Każdy z nas może być następny – odezwał się sołtys Janek Hirsz.

– Jak to?! – zagrzmiały wzburzone głosy. – On morduje tylko winnych!

– A kto z nas jest bez winy? – zapytał sołtys filozoficznie.

Najpierw zapadła konsternacja, a potem rozległ się szmer aprobaty. Rzeczywiście, każdy z nich miał na sumieniu mniejsze lub większe grzeszki: cierpienia innych, zaniedbania, brak troski, wyzwiska, kłótnie z sąsiadem, niedobre traktowanie zwierząt…

Ups.

Nie minął miesiąc, a Pomorska Wieś zmieniła się nie do poznania. Wprawdzie malownicze krajobrazy, w których przeplatały się wysokie, porośnięte lasami i zaorane polami wzgórza z żyznymi, ukwieconymi dolinami, pozostały takie same, taki sam pozostał też drewniany kościółek i brzydka, popeerelowska pijalnia, nie zmieniły się też specjalnie budynki rozciągnięte wzdłuż ulicy. Ale zniknęły połamane, dziurawe psie budy, zniknęły ciężkie łańcuchy u szyi krów i koni, zniknęły osowiałe, brudne, nieraz pokrwawione zwierzaki, które zmieniły się w zwierzaki dobrze odchowane i zadowolone z życia. Zniknęły najbiedniejsze rodziny: samotne wdowy, obdarte dzieci wielodzietnych rodzin, a w zamian pojawili się ludzie szczęśliwi. Zniknęli też gdzieś sami mieszkańcy – marudzący i kłótliwi, a zastąpili ich mieszkańcy uśmiechnięci i życzliwi.

– Aż trudno w to uwierzyć. Byłem przekonany, że mentalność tych ludzi nie zmieni się jeszcze przez kilka pokoleń. Rodzice dzieciom przekazywali złe nawyki, i tak w nieskończoność – stwierdził podin-

spektor Grzenkowski, gdy wraz z sierżantem sztabowym Merchlem jechali na miejsce pierwszej zbrodni, by ponownie poszukać dowodów, które mogli wcześniej przeoczyć.

Sierżant sztabowy tylko pokiwał głową.

– A ty? Naprawiłeś już tę budę? – zagadnął jeszcze podinspektor, bo od pamiętnej rozmowy w gabinecie nie wracali już do tego tematu.

– Żeby tylko! Po tej aferze żona z teściową uparły się, by psa wziąć do domu!

– I co? Tak źle ci z nim?

– Skąd! To mądra bestia ten nasz Pimpek! Że też dotąd tego nie zauważyłem. On by mógł w policji nawet pracować, no, słowo daję!

– Może jednak ten morderca miał trochę racji – mruknął Grzenkowski do siebie, zresztą nie po raz pierwszy przez ostatnie tygodnie. – Ale Schweitzer się pewnie w grobie przekręca. On, miłośnik pokoju!

– Nie wiem, kto to jest ten Szwajcar, ale przecież pokój zapanował.

– Schweitzer, nie Szwajcar. Zresztą, nieważne. Mam przeczucie, że ten morderca już się tutaj nie pojawi.

– A ja mam przeczucie, że pojawi się w innym miejscu. Jeszcze o nim usłyszymy.

Daria Kaszubowska

Wyróżnienie

Menadżing

– Pan jest z rodziny? – zapytał lekarz.

– Nie, to znaczy, tak, jestem, e, partnerem. – Jacek nie mógł nic wyczytać z oczu chirurga.

– Przykro mi, ale nie udało się uratować pana narzeczonej. To wszystko, co mogliśmy zrobić. – lekarz zimnym wzrokiem popatrzył na Jacka, a jego mina ukazywała wymuszone współczucie. Robił to co dzień, więc co mogło go obchodzić, że Jackowi właśnie zawalił się świat. Usiadł. Złamana ręka bolała, ale nie tak bardzo, jak serce. Siedział tak 15-20 minut. W końcu dotarło do niego, że musi zadzwonić do rodziny Iwony. Będą wstrząśnięci, będą go obwiniać, to oczywiste. Przecież sam się o to prosił. Dzięki Bogu, odebrał Tomasz, brat Iwony. Jacek był w stanie powiedzieć tylko jedno zdanie. Wszystkim zajmie się jej rodzina, to jasne. Nie miał do niej żadnych praw, mimo że wiedział, że nie miała na świecie nikogo bliższego.

Jacek wrócił do pustego domu taksówką, samochód nadawał się do kasacji. Zresztą, po tym wypadku, nie wiedział, czy jeszcze kiedykolwiek usiądzie za kółkiem. Błąkał się po pokojach, nie mógł usiedzieć na miejscu. Ani tam, gdzie jeszcze wczoraj leżała Iwona, ani tam, gdzie jeszcze tego ranka jadła śniadanie. Wszystko działo się jakby mimo jego woli. Wciąż nie mógł uwierzyć. Wreszcie rzucił się na fotel zmęczony myślami. Zasnął. Po chwili jednak zerwał się jakby targnięty nagłym

atakiem szału. Nie mógł zrozumieć, nie mógł pogodzić się. Dlaczego akurat ona?! Przecież to on prowadził, przecież to on tak instynktownie skręcił, kiedy na drogę wybiegł ten dzieciak. Może gdyby ona prowadziła… Może to on leżałby teraz w prosektorium. Ogarnął go nagły płacz, wściekłość. Zaczął przeklinać wszystko, co istnieje. Gdzie jest teraz Bóg, jej Bóg, w którego tak wierzyła? Nie uratował jej, nie zabrał jego zamiast niej. Wściekłość i gniew, przekleństwa, przewijały się przez jego głowę. W końcu otworzył barek, wyjął butelkę, sam nie wiedział czego. Może chociaż to pozwoli mu zasnąć. Nigdy nie sięgał po alkohol sam. Ostatnio wznosili toast szklaneczką whisky. Z okazji jakiegoś sukcesu w pracy Iwony. Nie pamiętał, ale wspomnienie napędziło mu łez do oczu. Odpędził żal. Wziął butelkę. Przechylił do dna. Chciał zapomnieć, umrzeć…

Tymczasem w innym wymiarze działo się coś, czego nie mógł być świadom

---

– Ari na piątej, odbierzesz, Raf? – powiedziała Brita, szczupła blondynka.

– Nie ma problemu, przełącz go – w wielkim biurze Rafael rozsiadł się wygodnie na fotelu, kiedy jego sekretarka opuściła pomieszczenie.

– Hej, Ari, jak się masz? Co słychać? – Ari był Przewodniczącym Zarządu firmy. Mimo, że ich pozycja była równa, w praktyce Raf zdawał się często na niego.

– Czy ty postradałeś zmysły, Raf? - Ari jak zwykle nie dzwonił z gratulacjami.

– To miłe „dzień dobry", Ari. Co się dzieje?- Raf ściszył głos i mocniej objął słuchawkę.

– Żartujesz, naprawdę nie wiesz?! Czy ty żyjesz człowieku? – Ari zaczął tłumaczyć podniesionym głosem, potok słów wypadł ze słuchawki. Wreszcie Raf odpowiedział:

– Ok, jasne, Ari, czegokolwiek ci potrzeba. Rozumiem – Rzucił do słuchawki i zdał sobie sprawę, że Ari zdążył się rozłączyć, zanim to usłyszał. Raf trzasnął słuchawką aż uniósł się nad nią obłoczek. Spojrzał przez szklane drzwi na swoją sekretarkę i zmierzył ją złowrogim spojrzeniem. Brita nie potrzebowała nic więcej, aby w podskokach znaleźć się obok jego biurka:

– Rafael, czy wszystko w p… – nie zdążyła dokończyć zdania, bo Raf gwałtownie poderwał się z siedzenia.

– Natychmiast zadzwoń do Szemkela i lepiej niech zjawi się tu przed południem albo osobiście sprowadzę go tam, gdzie jego miejsce! Do jasnej…

– Tak jest.- Mina Brity zdradzała, że jest przyzwyczajona do takich reakcji szefa.

– I Brita, nie mów do mnie: „tak jest", wystarczy żebyś dodała „sir" i będziemy się tu wszyscy czuli jak w armii zbawienia. Wiesz co, najlepiej nie mów nic, tylko rób, co mówię.

Brita wywróciła oczami, ale już nic nie powiedziała, wybierając numer biura Szemkela, tak jak się spodziewała odebrał asystent. Szemkela nie tylko nie było, ale też nikt nie miał pojęcia, gdzie podziewa się od wczoraj.

– Jasna du…ża otchłań – zaklął Raf i na te wieści wybiegł z biura tak szybko, że mało nie przewrócił dwóch agentów przed windą. Wpadł do niej i kilkanaście razy ze złością przycisnął poziom 1, jakby z góry zakładając, że raz to za mało i nawet mały przycisk w windzie nie potrafi zrobić swojej pracy bez jego pomocy. Nie minęło kilka sekund, a Raf dziarsko stąpał po krwistoczerwonym dywanie poziomu 1.

– Gdzie do cho..inki jest Szemkel, widziałeś go? Nie? A ty? Nie, no skąd! Z takim zezem nawet siebie w lustrze nie widziałeś! – Raf wskazywał paluchem na coraz to nowego napotkanego pracownika i wrzaskliwie pytał o Szemkela. Kiedy w końcu dopadł do biurka jego asystenta, nie czekając aż Raf otworzy usta Bariba odpowiedział:

– Nie widziałem go, ale wiedząc, że nie przyjmuje pan „nie" za odpowiedź, udało mi się go namierzyć. Siedzi na parkanie gdańskiego mostu zakochanych i ani myśli wracać do biura. - Bariba spojrzał na Rafaela wyrozumiale.

– Słodki Jezu! – krzyknął Raf i pędem wbiegł z powrotem do windy. Tym razem wjechał prosto na poziom zero, na którym mieścił się parking. Dopadł swoje białe Bugatti i dosłownie wyfrunął z gmachu agencji.

Szemkel nawet nie otworzył oczu na jego widok, zdawał się być niewzruszony piskiem opon i głośnym hamowaniem. Kiedy Raf już prawie złapał go za połę białej koszuli, Szemkel cofnął się dokładnie o cal od jego dłoni.

– Czego – powiedział nonszalanckim tonem – mój najnieulubieńszy Rafaelu, nie mogłeś wysłać któregoś ze swoich wiernych niewolników? – Szemkel nie spuszczał wzroku z pary stojącej na moście. - W jego głosie można było wyczuć lekką kpinę.

– Mógłbyś przynajmniej patrzyć na mnie, kiedy do mnie mówisz, barania głowo! – oburzył się Raf

- A najlepiej gdybym milczał gdy do ciebie mówię? – Zauważył złośliwie Szemkel skory do igraszek słownych. Nic sobie nie robiąc z tej uwagi, Raf kontynuował:

– Mamy robotę, a ty narażasz mnie na kolejne skandale, ty nierobie jeden. Wysłałbym kogo innego, ale do jutra mógłbym czekać na twoje ciężkie dupsko! – Raf darł się już w niebogłosy, nie zwracając uwagi na przechodniów.

– Daj spokój, Rafi, przecież pracuję, jak widać obserwuję tę parkę. – Szemkel wyciągnął się na balustradzie. – Jedyne, co ja widzę, to to, że ty, nicponiu, całą wieczność zajmujesz się tym, co nie trzeba. Twoje gierki gorszą „Górę", a do tego, ja dostaję oficjalny „mega-opierdziel" od Ariego! – Na to imię Szemkel w końcu zareagował i zwrócił ciekawe lewe oko na Rafa.

– Patrzcie! Wielkie Nieba, sam „arcyarychanioł", sam Ari do ciebie zadzwonił! Dobra, gadaj o kogo chodzi? Cóż ten pods…

– Zamknij się do kurantów niebieskich! Co robiłeś wczoraj?! Gdzie byłeś? Miałeś zajmować się papierami, a ty znowu wmieszałeś się w proces. Może powiesz mi, jakim cudem menadżer Iwony Wielkowskiej przedostał się z nią prosto z poczekalni do hotelu Paradise? Kto pozwolił ci kogokolwiek tam wpuszczać wejściem dla pracowników? I co ja mam teraz z tym wszystkim zrobić? Są w trakcie procesu, matole! – Słowa Rafa cięły powietrze.

– Dżiiizas, o to tylko chodzi? Naprawdę już nie macie większych zmartwień!? A idź do diabła i daj mi spokój, Raf. Lecę, już się za to zabieram. – Szemkel faktycznie dostał skrzydeł i zabrał się z parkanu natychmiast. Grał pewnego siebie, ale nie był na tyle głupi, żeby zadzierać z Rafem. Raf z kolei pomyślał, że tak naprawdę z tym diabłem to Szemkel mógł i mieć trochę racji, ale jeszcze nie teraz. Złapał Szemkela za koszulę zanim zdążył zwiać.

– Nie upiecze ci się tym razem. Przyprowadzisz Wielkowiejską z menedżerem na posiedzenie Rady Zarządu. Wobec ciebie też wyciągniemy konsekwencje. Widzę cię w sali konferencyjnej na siódmym piętrze o 18:00. I lepiej, żebym nie musiał nikogo po ciebie wysyłać! – Ostatnie słowa obiły się o eter, bo Szemkel już zerwał się, nie wiadomo dokąd. Rafael westchnął, ale uznał sprawę za przygotowaną do zamknięcia o 18:00. Tymczasem zajął się innymi obowiązkami. Kiedy dotarł z powrotem do gabinetu na piętrze +6, Brita natychmiast wpadła do środka:

– Rafaelu, już są, czekają w konferencyjnej. – Raf poprawił swój biały garnitur, przejrzał się w szybie i pewnym krokiem przeszedł do sali konferencyjnej, gdzie czekała na niego gromada osób w różnym wieku, lękliwie mu się przyglądająca. Odchrząknął i zaczął:

– Witajcie serdecznie, przyszli agenci. Nazywam się Rafael i jestem kierownikiem działu szóstego poziomu. Mam nadzieję, że każdy

z was zapoznał się już z naszą firmą na tyle, że wystarczy mi pokrótce przedstawić wasze zadania i reguły panujące na poziomie +6. Po pierwsze nasze motto, które widzieliście wyryte po łacinie przed wejściem brzmi: *„Dopóki człowiek nie obejmie współczuciem wszystkich żywych stworzeń, dopóty on sam nie będzie mógł żyć w pokoju".* To wersja oficjalna, w nieoficjalnej dodaję autorskie post scriptum: *„a my to już na pewno nie".* Moi drodzy, nie ma znaczenia kim byliście przed tą pracą, bo od dziś rodzicie się na nowo. Wybraliśmy was jako elitę, śmietankę śmietanki. Wy będziecie żyli nową pracą non stop i zasypiali z nią na ustach. Każdy z waszych klientów będzie się do was modlił i błagał, abyście byli jego jedynymi stróżami i przewodnikami, a wy macie zrobić wszystko, by uwierzył, że tak jest. Zasady są proste: macie nauczyć przydzielonych do was klientów współczuć, kochać i miłować. To wasze jedyne i ostateczne zadanie. Kiedy uda wam się do tego doprowadzić, wasz klient zostanie nagrodzony apartamentem w hotelu Paradise do wieczystego użytku. Jeśli klient was nie posłucha, będziecie się starali o kilka może kilkanaście lat dla niego. Ostateczny Sąd zdecyduje, czy zasługuje na kolejną próbę czy zostanie przekazany innemu kuratorowi. Może się też okazać, że uznamy go za bezużytecznego i niewnoszącego nic do działania firmy, w takiej sytuacji przekażemy go na piętro -7. Miejcie się na baczności, bo konkurencja nie śpi!!!

Po drugiej stronie ulicy w równie wielkim biurowcu do nadzwyczajnego briefingu szykowali się, natomiast, mężczyźni w czarnych garniturach. Chodziło o ważnego klienta, którego pozyskania w ciągu najbliższych godzin byli bliscy. Agenci szeptali między sobą, iż jest to sprawa o tyle dużej wagi, że sama szefowa miała dzisiaj poprowadzić spotkanie. Kiedy Lucyna weszła do sali i zasiadła na fotelu prowadzącego, okazało się że to prawda.

– Witajcie łachudry i nieroby. Czy ja wszystko muszę robić za was? Słyszę, że w Wejherowie zdarzył się potężny wypadek, zginęła

kochanka naszego prawie-klienta, a wy z tym nic nie robicie, leniwe śmiecie? Będę zwalniać i degradować każdego, kto nie przedstawi mi planu pozyskania go w ciągu najbliższych godzin. Scenariusze, dawać je w tej chwili! – Spazm srogości wykrzywił twarz prezeski, która i tak była kobietą szkaradną, a wściekła przypominała toczącego pianę z ust wyżła. Pracownicy zaczęli przewracać notatki. Pierwszy odezwał się Beliar:

– Scenariusz idealny dla Jacka Kołmotka to oderwanie się od rzeczywistości. Mam na myśli alkohol, kobiety, seks. Mogę wysłać kilka osób, które znajdą jego dawnych kumpli i przyjdą mu z pomocą. – Wyjaśnił zadowolony z siebie jak zwykle. Lucyna walnęła pięścią w stół:

– Gówno macie, Beliar! Wiesz, ile to wszystko potrwa, jeśli wpadnie w depresję dzisiaj, będziemy go mieli najprędzej za miesiąc! Wiesz, jakie to stworzy straty, giń mi z oczu, wynoś się z pokoju! – Lucyna często miewała takie napady, kiedy wisiała nad nią groźba gniewu przełożonych. – Mef! Co ty masz?

– Lucyno, myślę że rozsądnie będzie mu podsunąć naszego człowieka, który handluje dość mocnymi środkami: antydepresanty, lekkie narkotyki, może ecstasy. To zawsze działa, przy jego odporności nie powinno to długo zająć. Pamiętajmy, że ma ciągle ten drugi samochód, bardzo szybki. To mu pozwoli wsiąść i się zrelaksować i…- Mef zamilkł nagle. Lucyna wstała i zaczęła machać rękami, wyszarpała Mefowi notatki i rzuciła nimi o ścianę.

– Wypieprzaj, idioto! Krowy paść i świnie wieść na pokuszenie, a nie pracować tu z nami! Czy ty myślisz, że po wypadku, który spowodował, siądzie za kółko?! Do cholery!

– Jeśli mogę, Lucyno, mam coś naprawdę dobrego – cichym, ale niezwykle kuszącym głosem rzekł Garganiewicz – myślę, że w tej chwili najlepszym scenariuszem dla Jacka będzie sen! Ma w domu szafkę leków nasennych, myślę, że samobójstwo przyniesie mu teraz ulgę.

– W końcu ! Nareszcie ktoś tu myśli! Idioci, wasze IQ nie przekra-

cza poziomu sznurka na bieliznę. Jeden Garganiewicz, co umie nam zdobyć klienta. Osobiście postarasz się o jego menadżing. Masz nieograniczone środki na doprowadzenie go do nas, chcę, żeby jeszcze dzisiaj kontrakt był podpisany i żeby mi tu Lewi nie musiał dzwonić, nie cierpię oddawać pokłonów przez telefon temu kutasiarzowi. – Lucyna nawet na szefa wszystkich szefów otwarcie psioczyła w firmie. - Won, teraz! Won! Idźcie być idiotami gdzie indziej!- dorzuciła. Prawdopodobnie dlatego była postrachem całego piekiełka agentów i menadżerów tej strony miasta. Wyszła z sali, trzasnęła drzwiami i zabrała się za telefony w sprawie innych ważnych klientów, a każdy z jej pracowników rzucił się do swoich codziennych obowiązków.

Alkohol nie pomagał. Jacek dalej bił się z myślami, obwiniał. Nie mógł zasnąć. Iwona była taka delikatna. Kiedy zgodziła się z nim zamieszkać, był naprawdę szczęśliwy, choć nie umiał może wyrazić tego słowami. Przez całe 5 lat ich związku był przekonany, że to po prostu romans. Nic więcej. W końcu to on był szychą w tym mieście. Miał pieniądze, z łatwością mógł też mieć każdą kobietę. Zaangażowanie w showbiznes dało mu wiele. Nie był tylko świadom, aż do dziś, że tak naprawdę dopiero Iwona dała mu szczęście. Dopiero kiedy ją stracił, zdał sobie sprawę z tego, że w tym związku nie chodziło tylko o seks. Nie o to, że miał z kim pokazać się na mieście i zjeść śniadanie. To było coś więcej, choć nigdy nie sądził, że mogło. Przez myśl by mu kiedyś nie przeszło, że miałby się z nią ożenić. Wiedział, że bardzo tego chciała. Wiele razy widział, jak w nocy wstaje i płacze. Nie do końca pogodziła się z tym… Życiem na kocią łapę. Chciała widzieć się w białej sukni, a on swoim gadaniem, racjonalizowaniem i najwyższą pogardą dla jej wiary, skutecznie ją od tego odwiódł. A teraz? Przez niego umarła, w grzechu. Zdał sobie, w końcu! sprawę, że przez niego doczekała śmierci, jakiej każdy katolik się obawia. Jego wiara wygasła już tak dawno, a mimo to – to nie on zginął lecz ta piękna, dla wszystkich do-

bra i serdeczna osoba. Dlaczego? Ból i pustka w jego sercu, potęgowana przez silne poczucie winy, były tak wielkie, że coś, co ciągle szeptało w jego głowie, zaprowadziło go do apteczki. Pijany, zataczając się nad szafą, wyciągnął wszystkie tabletki, które tam znalazł. Nie chciał bez niej żyć. Pchany jakąś niewidzialną siłą, wpakował sobie garść tabletek do ust. Popił tym, co zostało na dnie butelki. Usiadł i czekał na ustanie tego, co kotłowało się w jego głowie, na wieczny spokój, na śmierć.

– A więc, Szemkelu, czy przyznajesz się do tego, że próbowałeś przemycić obecną tu Iwonę do hotelu Paradise, mimo że nie przeszła kontroli na wejściu i nie posiadała specjalnej przepustki? – zaczął Ari bardzo formalnie.

– Tak, tak, wysoki sądzie, yyy, to znaczy Ari, no, przyznaję się. Co miałem zrobić, zobaczcie jak piękna jest ta duszyczka. – Puścił oko Iwonie. Agent Iwony wstał:

– Jeśli pozwolicie mi zabrać głos. Drogi Zarządzie, tak naprawdę to był mój pomysł. No, znam Iwonę od urodzenia, opiekowałem się nią od pierwszego oddechu. Ona jest naprawdę niewinną, dobrą osobą! A że akurat wiedziałem, że Szemkel ma wejście do Paradise, poprosiłem go o przysługę.

– Tak? A my „przypadkowo" wiemy, jak się prowadziła przez ostatnie 5 lat! To niedopuszczalne, że pozwoliliście sobie na kontakt z tym renegatem Szemkelem. To przemytnik i cwaniaczek. Skierujemy jego sprawę do Wyższej Instancji.

– Ależ… czyście postradali zmysły? Przecież nie robiłem nic złego – oburzył się Szemkel.– O pani Iwonie słyszałem od jej agenta, tu stojącego….

– Który, powinniście dodać, jest waszym kumplem ze szkolnej ławy – dodał zgryźliwie Ari.

– Który jest kumplem z ławy, zgadza się, ale co to ma do rzeczy? Iwona przez ostatnie pół roku ciężko pracowała, chciała wrócić na

„dobrą stronę mocy". I w mojej ocenie jej się to udało, poza tym cierpiała zbyt wiele! – Szemkel spojrzał nerwowo na agenta Iwony, który przejął głos.

– Tak, pól roku temu zdiagnozowano u niej raka piersi. Zaczęła na siebie uważać, kilka razy w miesiącu była widziana w kościele! Prosiła mnie, żebym się za nią wstawił, co też zrobiłem!

– Pani Iwono – odezwał się milczący do tej pory członek Zarządu – czy to prawda, co tu mówią pani agent i Szemkel?

– Oj, przestań Michał! Jakie to ma znaczenie? Nie trzymała się zasad, mieszkała z tym całym Jackiem przecież, to się liczy! – Ari starał się ciągle jak zawsze sztywno trzymać zasad.

– Drogi Zarządzie, panie Ari, panie Michale, panie Rafaelu. Jeśli mogę mówić za siebie. Mój agent naprawdę nie ma z tym nic wspólnego, a pan Szemkel został w całą tę sprawę wmieszany przypadkowo. Otóż, owszem, grzeszyłam, mieszkałam z Jackiem, który nie cieszy się dobrą reputacją, jednak… Ciężko mi to powiedzieć przed tak szerokim gronem, ale… Odkąd dowiedziałam się o raku. Tak jak mówi mój menadżer... Starałam się zmienić swoje życie. Nie sypiałam z Jackiem. Nie chciałam go zostawić, bałam się, że to może go zabić. On naprawdę jest człowiekiem wrażliwym, nigdy by tego przed sobą nie przyznał, ale łatwo go załamać. Nie jest tak twardym, jakiego udaje. Nie jest sukinsynem, za którego wszyscy go uważają. Ja wiem, że on wielu ludzi nie szanował, wiem, że ich wykorzystywał. Ale odkąd z nim byłam i zajmowałam się nim, coś się w nim zmieniało. To ja poprosiłam mojego agenta, żeby w sekrecie opiekował się także Jackiem. To wszystko moja wina! Szemkel i on nie mają z tym nic wspólnego. Więc jeśli to, że od 6 miesięcy naprawdę byłam innym człowiekiem i starałam się zbliżyć do Dobra, ma jakieś znaczenie. Proszę wyciągnąć konsekwencje tylko wobec mnie.

Zapadła cisza, którą nagle przerwał dźwięk telefonu, a agent Iwony nerwowo pomacał kieszeń.

– No, niechże pan to odbierze. – zniecierpliwił się Ari.

– Halo, tak, o mój … Dobrze, już lecę. – rozłączył się – Chodzi o Jacka, wziął jakieś leki usypiające, on umiera! Proszę o pozwolenie na opuszczenie spotkania, żeby go ratować!

Ari, przypominając sobie, że Iwona poprosiła swojego agenta o czuwanie nad Jackiem, zezwolił mu opuścić spotkanie. Zarząd poprosił jednak, by Iwona i Szemkel opuścili pokój na naradę. Iwona była bardzo zaniepokojona, przez szklane drzwi było widać, jak ściska rękę Szemkela, który w końcu ją objął, widząc jak się martwi.

– Cóż, moi drodzy, nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. – Odezwał się Raf – jaka jest wasza decyzja? - Popatrzył pytająco na twarze zebranych. W końcu Michał zabrał głos:

– Ari, przecież widać, że ona naprawdę kocha. Myślę, że wszystko, co powiedziała to prawda. Trafiłaby do nieba tak czy siak, to przecież dlatego ją zdjęli, prawda, Raf ?

– Potwierdzam, mój zawiadujący nigdy się nie myli, jeśli nadchodzi odpowiedni moment, a klient był pod naszą opieką, to znaczy, że ma w sobie wewnętrzny pokój, który pozwala na dostanie się do hotelu. – Mimo zapewnień Rafa, Ari nadal nie wydawał się przekonany.

– Ale przecież to był jawny przemyt, powinna spędzić w poczekalni jeszcze bardzo dużo czasu. Ostatnie pięć lat. To przecież zasługiwało na potępienie. Gdyby agent nie wymyślił tego raka, kto wie, może teraz byłaby w stanie grzechu ciężkiego, to nie jest święta czy siostra zakonna - przekonywał Ari.

– Proszę cię. Mieliśmy już takie przypadki. Nie ma sensu zgłaszać tego do Szefa. Naprawdę on doskonale wie, co wyrabia Szemkel, ale przymyka na to oko. Gdyby coś i w tej sprawie go zaalarmowało, już dawno dałby nam po uszach – spokojnie oświadczył Michał. – No, dalej, cały Zarząd musi być zgodny. Jestem za tym, żeby zajęła miejsce w hotelu Paradise i dostała tam ten pokój. Tylko na nią spójrzcie. Miłość bije z jej duszy. – Iwona łagodnymi oczami wpatrywała się w przestrzeń,

zapewne modliła się teraz za Jacka, było to wypisane na jej twarzy. Michał nie musiał nikogo do tego specjalnie przekonywać.

– Ari, jako Przewodniczący, masz decydujący głos. Jestem za – powiedział Raf – moi podwładni dokładnie wykonują swoje obowiązki, jeśli ręczą za to, że kochała i objęła miłosierdziem wszystko, co żyje, to tak jest. – Rafael był zdecydowany bronić podwładnych, a co za tym idzie Iwony.

– No, dobrze. Ale! Przez najbliższe miesiące ma mieć tylko zwykły pokój. Pozyskanie apartamentu ma być przedyskutowane! – Ari w końcu się poddał.

– Świetnie, zaraz ich powiadomię. A co z Szemkelem? Puszczamy go czy damy jakąś nauczkę? – zapytał Michał, z figlarnym błyskiem w oku.

– Szemkel ma za karę objąć opiekę nad stadem urwisów z domu dziecka.- Ari zaczął się śmiać- Nie mówiłem tego wcześniej, żeby nie wpływało na nasze decyzje, ale Szef tak mi zasugerował. Przemyt ludzi nie może uchodzić na sucho. Z drugiej strony nie było mowy o wielkich grzechach.

Po chwili Szemkel i Iwona zostali poinformowani o decyzji. Będąc już w hotelu Paradise, w swoim pokoju, który miał wszelkie wygody, mimo że nie był apartamentem, Iwona z niecierpliwością czekała na powrót jej menadżera. Poza wieściami na temat Jacka, musiała uregulować wygaszenie kontraktu. W końcu agent pojawił się w pokoju.

– Z Jackiem wszystko w porządku. To, że wymodliłaś mu opiekę u mnie, pozwoliło mi wyprosić u Szefa dodatkowy czas. Widzę u niego postęp, Iwona. Po twojej śmierci nie będzie taki sam.- I anioł wyciągnął umowę, którą mieli rozwiązać.

– Ale co się stało, skąd myśli samobójcze? Przecież mówiłeś mi wcześniej, że on mnie nigdy nie kochał i gdyby nie twój parasol ochronny nad nim, jego śmierć będzie się wiązała z oddaniem go konkurencyjnej firmie czarnych. – Iwona podpisała zakończenie porozumienia.

– On… Iwona, on cię kochał. Nigdy nie zdawał sobie z tego sprawy, ale cię kochał. Stąd wierzę, że wkrótce będzie na dobrej drodze do pokochania wszystkiego, co żyje. Myśli samobójcze podrzucili mu agenci od Lucyny. Myśleli, że uda im się go teraz dorwać. Ale nie tak prędko, był ochrzczony i mimo że dawno wygonił swojego menadżera i zastanawiał się nad kontraktem z diabłami, twoja śmierć wszystko zmieniła. Udało mi się odszukać jego anioła stróża. Zgodził się poczuwać nad nim trochę, jeśli Jacek się ogarnie, to może nawet zaopiekuje się nim na nowo. Dzięki tobie Jacek jest w dobrych rękach. Po tych słowach anioł wyjaśnił że musi lecieć, na podpisanie nowego kontraktu z rodzicami noworodka.

„Dziwny sen"– pomyślał Jacek. Jednocześnie obudził się z przeświadczeniem, że śmierć Iwony jednak miała jakiś sens. Kiedy lekarz wyjaśnił mu, że był krok od śmierci i tylko cud go uratował, Jacek zaczął się zastanawiać, że może jednak wiara Iwony coś w sobie ma? Jak się okazało, rodzice Jacka usłyszeli o wypadku w telewizji i przyjechali do niego tak szybko jak tylko mogli. Mimo że kiedyś zerwał z nimi kontakt, przez te wszystkie lata nie przestali go kochać i nie przestali się za niego modlić. To oni zobaczyli niedomknięte drzwi do domu i znaleźli Jacka nieprzytomnego na podłodze. W ostatniej chwili został uratowany, a dziwny sen o Iwonie i aniołach? W jakiś sposób, Jacek wierzył, że nie był przypadkowy. Jakby cały pokój wewnętrzny, którego przez tyle lat nie miał w sobie, nagle się odnalazł. Jego pierwszym krokiem ku uczczeniu pamięci Iwony było przeproszenie swoich rodziców, czuwających nad jego łóżkiem. I miał dziwne wrażenie, że poza nimi, czuwa ktoś jeszcze …

Lidia Zdzitwiecka

Wyróżnienie

DRABINA

opowiadanie prawdziwe

Jest, jest. To ta kapliczka. Zobacz, a naprzeciwko ta górka o której Ci opowiadałam. I te wysokie drzewa. Nareszcie jesteśmy na miejscu – krzyknęłam uradowana.

Stanęliśmy na drodze przy wiejskiej kapliczce. Typowa warmińska z czerwonej cegły, popaćkana gdzieniegdzie białą farbą, trochę odrapana i pochylona ze starości z nową figurą Matki Boskiej trochę nie pasującą do spękanych cegieł. Dyżurne czerwone róże wypłowiałe od słońca sterczały z okopconych słoików po zniczach. Wkoło pokrzywy i krzaki, a z tyłu pole żyta i trochę cienia od dwóch krzywych drzew.

Wysiedliśmy z samochodu. Dotknęłam muru kapliczki. Zakręciło mi się w glowie. To chyba z tego upału.

- Kiedyś, na tym polu rósł len, a w kapliczce stawialiśmy żywe polne kwiaty z długimi łodygami lnu – powiedziałam wzruszona.

Milczeliśmy wpatrzeni w świętą panienkę udekorowaną plastikowymi kwiatkami. Dekoracja wyglądała kiczowato, podobnie jak we wszystkich wiejskich kapliczkach.

Jesteśmy u celu. Napijmy się wody, taki straszny skwar – odezwałam się energicznie, aby rozładować napięcie. - Jest jeszcze kawa w termosie. Trochę lurowata, ale trzeba wypić.

Nie będziemy jej przecież wozić do Cioci Aldony – podałam Darkowi kubek z kawą.

Wreszcie tu jestem. Wejdę na górkę i zobaczę jak tam teraz jest, a Ty odpocznij. Zostań przy samochodzie. Rozprostuj kości i zapal sobie.

Szkoda, że nie wzięłam kijków Nordic, pomyślałam. Ta górka jest spora, choć łagodna, a kolano jeszcze nie sprawne i pobolewa. Zesztywniałam w samochodzie. Jechaliśmy dość długo przez te objazdy na trasie i pobłądziliśmy trochę. To przeze mnie, nie pamiętałam drogi – po tylu latach mam prawo nie pamiętać. Mamy jednak czas, przecież nam się nie śpieszy. Nikt nas nie goni.

- Odsapnij w cieniu, taki upał, a ja ruszam – powiedziałam głośno.

Ta sama droga, którą zapamiętałam z dawnych lat. Z czasów wakacyjnej kanikuły.

Szeroki trakt zarośnięty trawą. Gdzieniegdzie widać kamienie. Takie kocie łby jak to się potocznie mówi. Widać, że nikt tędy nie chodzi. Kiedyś, czterdzieści lat temu nie było tyle trawy. Szara kamienna droga prowadziła do samego domu. Zapraszała w gościnę do cioci Filomeny.

Bramy nie było. Wchodziło się od razu na dziedziniec.

Dom był typowy mazurski, szary poniemiecki dworek. Pod oknami rosły malwy. Wchodziło się od strony podwórka. Najpierw była weranda z drewnianymi ławami na których spały koty. Potem przedsionek i duża kuchnia z chlebowym piecem. Drewniany stół i ławy do siedzenia pachniały szarym mydłem.

W całym domu tak dziwnie pachniało. Nie tak jak w domu w Gdyni. Może to te suszone kwiaty, albo zioła zatknięte za obraz, a może chińska róża od której mamę bolała głowa. W izbach było chłodno nawet latem.

Taki był ten dom. Swojski.

Wszyscy tu mówili tak śpiewnie z wileńskim akcentem. Ciocia Filomena była siostrą Babci Emilii, ale była zupełnie inna niż Babcia.

Może dlatego, że była starsza, a może dlatego, że całę życie spędziła na wsi, na gospodarstwie.

Szłam powoli. Zamyślona rozglądałam się ze zdziwieniem. Bylo inaczej niż kiedyś dawno, dawno temu...

Tylko topole te same po obu stronach drogi. Wysokie, strzeliste do samego nieba. Tu na drodze było trochę cienia i lepiej się oddychało.

Weszłam na górkę.

Tu powinien być dom i wielkie podwórko, drewniana stodoła z rozeschniętych desek z bocianim gniazdem na dachu, obora dla krów, stajnia, świniarnia, a z lewej strony sad. Trochę zapuszczony z małą banią w środku. Odgrodzony od podwórka drewnianym płotem.

Przy płocie zawsze stała bryczka i konie - Jurgis i Bułan gotowe do drogi.

Był tez ogródek warzywny, no i domek z seruszkiem i psia buda.

Teraz jest tylko cisza dzwoniąca w uszach.

Zapuszczone pole z trawą po pas i kawałek ceglanego muru wystającego z zielska.

Zanurzyłam się w gęstwinie. Wśród pokrzyw przeświytywały fundamenty domu. Ruiny, wszędzie ruiny. Nic nie zostało. Wszystko naprawdę spłonęło.

Byłam wstrząśnięta.

Pokrzywy parzyły nogi, ale szłam po murku znaczącym ślady dawnego domu rozglądając się wokoło.

Nie było tu nic tylko gęste, wysokie chwasty i pokruszone cegły.

A staw? A studnia? Gdzie one się podziały!

Żaby też się wyprowadziły, bo nie słychać ich kumkania. Bociana też nie ma.

Stanęłam zrezygnowana na chwiejących się resztkach fundamentu. Dalej nie pójdę, bo jeszcze wpadnę w jakąś dziurę i się połamię. Przyjrzałam się ruinom porośniętym mchem i zielskiem.

Gdzieniegdzie rosły chude drzewka, samosiejki. Bujna zieleń

i komary. Na cegłach pajęczyny drżały na słońcu z zaschniętymi muchami oblepionymi pyłkami kwiatów.

Tylko las ten sam z tyłu. Biała kora brzózek widoczna była z daleka.

Zeszłam z murku i zajrzałam w głąb chaszczy.

Jakieś robaczki łaziły po kwiatkach, a muchy natrętnie siadały na ramionach bzycząc do ucha.

Gorąco. Zamknęłam oczy. Zapętliłam się w minionym czasie.

Myśli popłynęły w czasy dzieciństwa, Minęło ponad 40 lat od chwili kiedy tu byłam. Parę razy z rodzicami, a raz z wujem i ciocią na wakacjach.

Byłam też na pogrzebie Cioci Filomeny, ale to było zimą i bardzo to przeżyłam. Długo prześladowały mnie te smutne obrazy. Miałam wtedy może z 12 lat.

Dotknęłam murku wystającego z bujnej zieleni. Był nagrzany letnim słońcem. W tych skrawkach murów zapisana jest historia mojej rodziny. Przeszłam dalej. Ostrożnie przesuwałam się wśród resztek domostwa.

Jestem w kuchni. Tu było tak przytulnie i gwarnie. Każdy miał swoje miejsce przy stole. Było ciepło i pachniało jedzeniem. Na kuchennym piecu zawsze stały garnki, kolorowe, emaliowane i ogromna patelnia do smażenia wileńskich blin.

Teraz została tylko metalowa obręcz kaflowego pieca. Tego pieca w którym wesoło buzował ogień, a ciocia Filomena smażyła placki mieszając ciasto drewnianą łyżką, a na zapiecku można było się zdrzemnąć.

Na drewnianym talerzu gorący stos blin pachniał apetycznie. W miskach gęsta śmietana, konfitury, skwarki. Do wyboru. Dzieci lubią na słodko i ze śmietaną.

Na blachach studziły się chleby. Pajda z samym masłem i cukrem była najlepsza. Skórka chrupiąca, kruszyła się i pod stołem zawsze było pełno okruchów.

Miód wyjadało się łyżką ze słoika. Konfitury też zawsze kusiły. Spływały z placków na palce i na umorusaną buzię. Trzeba było szybko jeść, bo na podwórku tyle się działo. Nazbierane rano żaby upchane w wiklinowym koszu porozłaziły się po podwórku, a chcieliśmy je dać bocianowi na obiad. Trzeba też zajrzeć do źrebaczka. Wczoraj się urodził i podziwialiśmy jak stoi na drżących nóżkach. Potem trzeba koniecznie pobiec nad staw, by sprawdzić czy wszystkie dzikie kaczki pływają po nagrzanej słońcem wodzie.

Na łące można biegać i grać w piłkę, albo położyć się na miękkiej trawie i opowiadać wymyślone historie, śpiewać piosenki, albo czytać na głos książeczki dla dzieci z napisem na okładce „Poczytaj mi mamo". Kuzyni byli młodsi i bardzo lubili słuchać mojego czytania chociaż znali już te wszystkie bajeczki na pamięć.

Ocknęłam się z zamyślenia. To było tak dawno, ale tak miło powspominać.

Czas wracać do samochodu. Komary gryzą niemiłosiernie i nic tu nie ma. Żadnego życia. Nawet drzewa w sadzie się spaliły. Tyle tu było jabłoni...

A ja miałam nadzieję, że nazbieram papierówek i zawiozę Cioci Aldoni.

Tu jest pustka. Zielona pustka.

Zrobię tylko kilka zdjęć komórką. Zostaną na pamiątkę z wakacji.

Pokażę te fotki Magdzie, ale czy Ona zrozumie...

Kiedyś było inaczej. Czas jakby płynął wolniej. Było dobrze z mamą, tatą, ciotkami, wujami i kuzynostwem. Wakacje były gorące i beztroskie. Wieś pachniała łąką, skoszonym sianem, wilgocią stawu, miętą, lawendą i lasem. I po prostu wsią , końmi, krowami, świniami....

Te wszystkie zapachy mieszały się z dymem z komina i z zapachem świeżego chleba.

Prawdziwe smaki, proste dni, bieganie boso....kąpiel w ruskiej bani, smaganie witkami brzozowymi w oparach gorącej wody.

Teraz można tylko o tym poczytać w powieściach. Historia jakby nie z tej ziemi.

Zaczęłam schodzić. Topole dawały cień i na drodze było przyjemniej. Lekki wietrzyk osuszył łzy i tak bardzo pachniało. Łąką, polem, piaskiem i czymś jeszcze. Nieuchwytnym aromatem tamtych dni. Beztroskim czasem sprzed czterdziestu lat.

Dziwne. Stanęłam jak wryta. Ta drabina przy drzewie. Dlaczego ona tu stoi przy topoli.

Na takim bezludziu drabina. Stara, popękana od wiatru i wilgoci.

Oparłam się o drabinę. Zrobiło mi się słabo, chyba od tego upału. W głowie zawirowało od myśli, wspomnień, dzisiejszych wrażeń.

Na dole przy kapliczce Darek stał przy samochodzie.

- Jeszcze chwilę tu podumam w cieniu i odsapnę oddychając wiejskim powietrzem – pomyślałam.

Dotknęłam wyschniętych szarych szczebli i zamknęłam oczy, by lepiej usłyszeć myśli.

Jakieś bezładne słowa tłoczyły się niby bez ładu i składu, ale miałam wrażenie, że słyszę szept.

Wszystko zastygło. Nie było słychać brzęczenia komarów, lekkiego szumu wietrzyka i drgania motylich skrzydeł. Tylko to coś, co czasami wyłapuję z ciszy. Szept mojego Anioła.

Wyjęłam notes i długopis. Przykucnęłam pod drabiną i zaczęłam pisać.

Słowa spływały na papier jakby ktoś mi podpowiadał .

Wyczuwało się jakąś magię. Czar chwili.

Ignaliński Anioł

Zapatrzona w pustą drogę
donikąd
Smutna Panienka
z przydrożnej kapliczki
z przerwaną historią
skrawka tej warmińskiej ziemi
w bolejącym sercu -
tęskni za Aniołem Ignalińskim,
który odszedł po drabinie do nieba.
Z osmalonym anielskim ciałem,
ze spalonymi skrzydłami
wspiął się do Pana Boga
by serce z pożogi ocalić.
W Królestwie Niebieskim
się modli
o nowych panów tej ziemi
i kiedy znów ich zobaczy
zejdzie z Niebios znów w bieli.
Rozłoży swe zdrowe już skrzydła
nad ziemią którą ukochał
i będzie znowu tu służył,
bo Anioł przecież jest wieczny.

Rozbolała mnie ręka od pisania na kolanie.
Wyprostowałam się. Strzyknęło mnie w krzyżu.
Przyjrzałam się drabinie. Zwyczajna, tylko po co tu ona.
Na plecach poczułam ciarki. Gorąco i zimno zarazem.
Było mi smutno. Bardzo smutno.
Odetchnęłam głęboko wciągając w nozdrza zapach zdeptanej

przeze mnie trawy i odwróciłam twarz ku drodze. Tam na dole było bez zmian. Samochód z pootwieranymi drzwiami wietrzył się na pustej drodze. Darek stał przy kapliczce zapatrzony w pole. Może obserwował zabudowania Krawczyków daleko na horyzoncie, a może zauważył na polu bociana, który poderwał się do lotu.

Z samochodowego radia słychać było muzykę, ale tu na górce nie mogłam usłyszeć melodii.

Zamknęłam kalendarzyk zaznaczając starym paragonem stronę na której pisałam. Kalendarz i długopis schowałam do saszetki z komórką, którą wcześniej zrobiłam zdjęcie drzewa z drabiną. Tylko jedno zdjęcie.

Powoli schodziłam z górki. Przeszłam na lewą stronę i szłam brzegiem pola żyta zrywając modraki.

Było ich tu dużo, a na poboczu rosły też inne polne kwiaty białe, żółte i różowe, których nazw nie znam, bo z przyrody byłam zawsze słaba. Kiedyś rosły tu też różowe kąkole. Teraz ich nie ma. Zrywałam również jakieś długie trawy, bo wyglądały ładnie. Pasowały do tego polnego bukietu.

Darek pewnie powie: „Po co Ci to zielsko, tylko nabrudzisz tym wiechciem w samochodzie" – pomyślałam. Ale one są takie piękne te kolorowe kwiatki i tak urzekająco pachną. To przecież zapach Ignalina. Taki sam jak kiedyś, dawno dawno temu...

Trochę rozbolało mnie kolano i lekko kuśtykając stanęłam wreszcie na drodze. Tu było bardziej gorąco niż na górce w cieniu drzew. Powietrze stało w miejscu.

Trochę to trwało. Zdążyłem wypić pół butelki mineralki - Darek podniósł do góry pustą butelkę po wodzie mineralnej.

Jak było? - przyglądał mi się z uwagą.

Rozmazałam dłonią brudną od zielska łzy na spoconej twarzy.

Co się stało? - spytał lekko przestraszony.

Nic – wzruszyłam ramionami. - Dziękuję Ci, że mnie tu przywiozłeś, tylko mi smutno, bo jest inaczej i ta drabina pod topolą...

Jaka drabina? O czym Ty mówisz?

No, ta drabina, drabina do nieba. Opowiem Ci to później - trochę się zdenerwowałam.

- To nie jest już tamto Ignalino sprzed czterdziestu lat. Ignalino mojego dzieciństwa. Tu jest jak w Betel, złupiona ziemia.

Nic więcej nie mogłam powiedzieć. Głos mi zadrżał.

Z samochodowego radia płynęła muzyka symfoniczna Arnolda Schoenberga – Jakobsleiter (Drabina Jakubowa).

- Nie lubię niemieckiego. Przełącz na inny kanał – powiedziałam cicho. - Wracamy.

W domu Darek zgrał zdjęcia z komórki na komputer. Wyszły nawet nieźle. Stasiu pewnie znajdzie błędy i powie, że to amatorszczyzna. Fachowo robi się zdjęcia tylko dobrym aparatem, a nie komórką, ale dla mnie najważniejsze jest to, że tam byłam. W Ignalinie.

Tylko jedno zdjęcie wyszło jakieś ciemne, ponure. Drzewo i drabina.

Rozpłakałam się.

Alicja Orszulak

Wejherowo, czerwiec 2014 r.

I nagroda

Sosna

Już dawno przerosłaś mnie sosno
pamiętam te małe igiełki
wbijałam je w mokry piasek
i budowałam z nich gniazda

stałaś się moją siostrą
tego dnia gdy przybyłaś
mama ciebie wsadziła
w ziemię przed naszym domem
na skraju Małego Trójmiasta
dzień w dzień wspólne zabawy
rozmowy do północy
aż któregoś razu
wybiłaś swój czubek nad dachy

ja też trochę urosłam
ale jest jakoś inaczej
już nie ma gniazd z igiełek
ani śmiechów do późna

czasami się tylko pochylasz
jakbyś coś chciała powiedzieć
ale to wiatr cię tak szturcha
a ja już zapomniałam
co mi szeptałaś do ucha
tak mała

a może

nie nauczyłam się słuchać

Daria Węsierska

I nagroda

Impresja leśna malarza

Spojrzał Pan Tadeusz
tam gdzie jesienna tęcza
w potarganych gałęziach
rozpięła łuk nad sztalugą

gdzie dąb karmiony karminem
jarzębinowych korali
zawiązał z wiązem w koronach
odświętne girlandy
i gdzie brunatna buczyna
na liściach brzozowych
podziwia wykradziony pszczołom
plaster złotego miodu

cis w ciszy igły przeciska
zwierzętom zwierza się wierzba
że topi się w słońcu topola
trwa w trawach zabawa farbami
pomarańczowa symfonia w półcieniu
malarskie katharsis

wychylił się żuraw z żurawin

czy też to przeszedł Borówc
i Borowa Cotka
przed Panem Tadeuszem
przez stacje Kalwarii…

Daria Węsierska

I nagroda

W Akwarium Gdyńskim

Olbrzymie oko za szkłem
jakby boskie
obserwuje
jak gnane na oślep
od ściany
do ściany
łapiemy w pościgu
gąbczaste okruchy
bez słów
zaczepiamy płetwami
muskamy ogonami
cały czas w biegu
jedne gonią drugie
i tak po skrętach w kółku
zadyszka łapie
w skrzelach
to jeszcze nie
półmetek
ani trzeci etap
nawet nie wiemy gdzie
wyznaczona
oczekuje meta
ani czy przewidziano
dla którejś złoty medal
jednak biegniemy dalej
bo biec jest przecież lepiej
niż stanąć
i patrzeć
bezczynnie
pół metra
przed siebie

Daria Węsierska

II nagroda

Ci, którzy zobaczyli

Musieli w końcu zobojętnieć, gdyż tyle razy już widzieli
otwierające się świetliste drzwi i wlatujące z nich w biel sali
anioły,

ich piękne twarze, powleczone światłem dłonie,
stąpające bezszelestnie kształty, które zaglądają do szafek, rozchylają kotary,
wodząc długimi, smukłymi palcami po zardzewiałych ramach
łóżek, śledząc uważnie linie życia na monitorach, podnosząc do góry
fiolki z lekarstwami, czekając na zgaśnięcie oczu, nagłe zwiotczenie
ciała i zastygłą w pół słowa prośbę o szklankę wody.
Wtedy chwytają jeszcze ciepłą dłoń i przeciągają
na swoją stronę.

Musieli w końcu zobojętnieć - robią aniołom przejście
i cierpliwie czekają będąc myślami przy kawie i dzieciach,
które trzeba odebrać ze szkoły.

Gdy wszystko zaczyna powoli blaknąć wołają salową,
by zabrała prześcieradło.

Lekarze z oddziału onkologicznego tyle już zobaczyli,
że przestali widzieć.

Rafał Baron

II nagroda

Śmierć

jak wszystko dostosowuje się do czasów. Dziś musi wystroić się

według najmodniejszych trendów i być medialna, wystrzałowo wyglądać,
by wzbudzić zainteresowanie, a więc być tam, gdzie jest co najmniej
umierająca setka ludzi w chmurze gazu bojowego lub pośród
pluszowych zabawek dzieci z zestrzelonego samolotu -

- ewentualnie w efektownym wybuchu miny rozsadzającej komandosów
szturmujących siedzibę wroga w najnowszej wersji
„znajdź i zabij". Przeplata się z kolejnym
życiem (zostało ich jeszcze cztery, a potem najwyżej
zresetuje się grę), bo musi być intrygująca,

inaczej będzie gnić w samotności, w zapuszczonej kamienicy
na peryferyjnej dzielnicy miasta, w dwupokojowej ruderze
starej, niedołężnej kobiety,

mało spektakularna, nudna i zapomniana
zniknie w czeluściach przełączonego kanału
jakby w ogóle jej nie było,

a ulicą poniżej przejedzie taksówka wioząca do pubu
roześmiane dziewczęta i chłopców. Jeden z nich
wychyli się i pokaże światu środkowy palec
zapominając o spiętrzonej ciemności,
z której na moment się wydobył.

Rafał Baron

II nagroda

Legion

Mieszka we mnie czterdziestolatek, lecz nie ma w nim nic
z dobrotliwości inżyniera Karwowskiego. Jest drapieżnikiem.
Pod bladym księżycem monitora pożera wzrokiem dziewczynę
ze zdjęcia. Rozbiera ją z pikseli, zagląda pod skórę, redukuje
do ostatecznej nagości. Do *nuditas.* Do nudy.

Rankiem przychodzą do niego inni. Najpierw siedmiolatek -
- nieśmiertelny chłopiec, ufny jak pierwsi mieszkańcy i wtedy dni
pełne są cudów – pytań, a każde z nich zawiera początek
odpowiedzi i świat odradza się co rano jak kolejne budowle
z klocków lego.

Nie wiem z jakiego powodu piętnastolatek we mnie
stracił nieśmiertelność. Od tamtego momentu niszczy
to co zbudował siedmiolatek, jego domem jest burza, świat
jest wrzącą kipielą, a on szuka najgorętszych miejsc
w ciele i języku.

Dwudziesto- i trzydziestolatek we mnie nie mogą nadziwić się
takiemu marnotrawstwu czasu, energii i pary
idącej w lichy, nastoletni gwizdek bez znaczenia – bo to znaczenia
poszukują mozolnie pnąc się w górę drzewa wiadomości, (dobrych, złych
i medialnych), a ono rozgałęzia się i pyli w oczy
złotym chłopcom wierzącym w swój dotyk Midasa,
który miał zmienić świat na ich podobieństwo, lecz to on - świat
rozlewa się w nich niczym wirus, coraz gęściej. Coraz trudniej
dotrzeć im ścieżkami z krzemu i plastiku
do samych siebie.

Są jeszcze inni, lecz zmęczony nie chcę ich znać. Żaden z nich nie umarł, są we mnie wszyscy, a każdy z nich nazywa się Ja, snuje plany i obietnice, wystawia weksle, za które płacić muszą Tamci.

Czasem chcę ich skłonić do zgody, ale połączenia wewnętrzne kosztują najwięcej, więc coraz częściej omijam ich ciszą, wychodzę i zostawiam za sobą kłócący się tłum. Opuszczam ich jak odpływ

prąc ku cichej głębi.

Rafał Baron

III nagroda

Tryptyk autobiograficzny

* * *

Podróżowałem bez zakłóceń
a świadkiem punktualność siwizny
ale już nie śpiewające mi sto lat sto lat
bo nie mam na recepty
żeby aż tak się przygarbić
Wystarczą mi moje dwa zegary
Brodaty antyk oznajmia kukułkowo
a wisząca unitra śledzi czas w milczeniu
Oba się szczodrze późnią
i każdej doby kwadransami premiują ml życie
Córki i synowie już na peronach
do dalekobieżnych pociągów
spakowani na ostatni guzik
Nie mogę dobić targu z zawiadowcą
żeby opóźnić odjazd
Tłumaczy mi
że ten rozkład jazdy
nie może ulec zmianie
i że mam bezkolizyjnie stać na bocznym torze
pod zamkniętym na zawsze semaforem
.....

Podobno w świecie magii
można wszystko z rękawa
i wystarczy tylko zapłacić za bilet
bo chciałbym zegarek nakręcić wstecz
.....
Boga zawsze miałem w sercu
A teraz na wyciągnięcie ręki

Lechosław Cierniak

III nagroda

* * *

My z Dionizym już za kulisami
gdzie nawet echo pakuje manatki
Na co dzień świąteczny alkohol
intonuje pieśń o wymarłych zwycięstwach
a sny wspomnieniami jak za karę
(tylko czasami kolorowe ku pokrzepieniu)
I trwa udręka nowym przysłowiem
że dzieci i starcy nie mają głosu
My z Dionizym nie tańczymy już na wesołych parkietach
Wypoczywamy w retrospektywnych cieniach
a w dogłębnych wnioskach
zliczamy sobie rany do bilansu
i na prywatny użytek
układamy na wadze w skali od urodzenia do śmierci
ciężarki egzystencjalnych odważników
i ważny każdy gram
bo nawet byle rupieć z bibelotowej kolekcji
dzisiaj dojmującą wartością
My z Dionizym często czytamy stare zdjęcia
te wszystkie za matczynych dni
kiedy tabula rasa do zapisania jeszcze była
I fleszem retrospekcji
znowu siadamy w kiedyś kolorowym pokoju
na wykopaliskach wczesnego dzieciństwa
skąd czas pozabierał popsute zabawki
I tylko przez mgłę
urwane ucho misia
nadgryzione klocki
zajeżdżony koń na biegunach
Dionizy płacze żeby na tym koniu
jeszcze raz w galopie ku wstędze do mety

Lechosław Cierniak

III nagroda

* * *

Widziałem swoje płuca w pańskich oczach
I inne części ciała budzące podejrzenie
Proszę jednak nie twierdzić
że ma pan czarno na białym
co we mnie choruje panie Rentgen
We mnie epicentrum ludzkiej destrukcji
i tracę grunt pod nogami
Boję się o dach nad głową
a ratownicy pukają się w czoło
że wołam na ratunek
bo ja
to za mało ofiar
szkoda więc sprzętu -
i zamiast czerwonego krzyża
pozostał mi tylko siódmy
Palą się domki z kart
I zdoliniały płaskowyże na moim sejsmografie
Nic pan nie wie
co we mnie choruje panie Rentgen
W moim pokoju kobiety tylko na ścianach
milczą ozdobnie w ramach
W kącie kołyska bez amplitudy
a w drugim telewizor o szczęściu kłamie
I bieda na ulicy w panoramie okna
drwi z bajek dzieciństwa
Już spokorniały muskuły
i krew nie płynie do czynu
a czarne kadry film tworzą
i projekcji nie widać końca
Żeby chociaż pies z kulawą nogą
Ale nawet pies
Nic pan nie wie
co we mnie choruje panie Rentgen

Lechosław Cierniak

Wyróżnienie

Brudy

Prali brudy w cichej klatce
Kiedy serca wyły, wyły najgłośniej
Matowe pręty
Byle sąsiad nie dowiedział się
O tym co nieznośne

Łamali umysły, bo kiedyś ich przepuszczono
Przez mentalną ścieżkę zdrowia
Kłamali żegnając księżyc
Myśląc że zakłamią znaczenie dobra

Dwójka z ich potomków zrozumiała zasady
Że za pokłony było mięso, nie kości
Jednak kolejna dwójka, mimo pręg
Wolała spać głodnym, od braku wolności

Jedno z tej dwójki kochało przestrzeń
Malować to co wieczne
Mieć orgazm oko w oko z nieśmiertelnością
Morza, gór, wiatrem, egosamotnością
Nigdy jej twórcy
W miłości nie wytarzali
Więc zanurzyła się w wodzie
Tam styczniu ciepło zaznała

Druga krążyła po świecie
Dzień Londyn, nocą Haga
Tam porodziła swe dziecię
Lecz miłości nie odnalazła

Coraz mniej takich chatek, gdyż coraz więcej dzieci
Wolało odejść, porzucić, swym potomkom nie śmiecić
Brudy wylały się z szambem, ich twórcy nie zapłakali
Gdy posłuszne dziecko w więzieniu, drugie latem włożyło szalik

Ta która miała dzieciątko, jedynie przy oddechu została
wciąż szukała tej tęczy, za którą ciągle tęskniła
I odrzucała ojczymów, którzy tak bardzo chcieli
Stworzyć podobną hacjendę, co jej twórcy mieli
Wolała, aż każdy płatek śniegu powoli stopnieje
Aż w końcu spotkała Ktosia i pocałował jej serce

Jej twórcy tak głośno wrzeszczeli ogniem
Że się w końcu w nim spalili
Polska rodzina w kościele
A w chatce serca pognite

Odchodzą dzieci z tych klatek od dzieci z podobnych domostw
Bo nie chcą aby ich dzieci musiały w szambie się chować
Tej jednej to się udało, jedynej z całej czwórki
Ich twórcy nie pomyśleli, że nad nimi jest większy Twórca

Męczyli się codziennie, „gwałcili" ciągle swe dzieci
nie dla nich Stwórca wysłał, swe wieczności karety

Ich córka już nie musiała, podchodzić więcej do lustra
Aby zobaczyć swój uśmiech, przykleił jej się na usta
A były wciąż całowane, w każdą wolną chwilę
W końcu współczuła biologicznym, że miłości nie odkryli
A te historie o klatkach coraz rzadsze będą
I zdarzą się tylko u tych, co się Miłości przelękną

Karol Bronk

Wyróżnienie

Łańcuch życia

Nasza wiara, że akurat nam się uda

I wiedza, że pojmiemy koniec po końcu
Nasze codzienne, wymyślane cuda
Aby morfiną ukłuć z betonu łańcuch

Nasze spojrzenia na terakotę z obłoków
I ciągła kolejka na pocałunek boski
Iskrę pewności, ze my się dowiemy
Że nie jesteśmy jak przemoc prości

Nasz Leonidaś, Ikar, Prometeusz
Ile traw stępiły już noże
Tylko skończoność i w skończoność wierzymy
A nie w co nie było na naszej drodze

Plagiat i kopia
To czym jesteśmy

I każdy nawet ten niezależny
Pogarda do tego co nie widzieliśmy
Bo wszyscy z mędrcem chcemy być zbieżni

I tak patrzymy, aż usną oczy
Az serce zapłacze z tęsknoty miłości

Znów powtórzymy mogliśmy inaczej
I znów skręcimy na teren grząski

Karol Bronk

Wyróżnienie

Nie uklękło

Ten granat, który jest kołdrą dla większości
Sprawia, że zaczynam łapać tlen
Patrząc jak w lustro
Uśmiechu bez próżności

Poukładane światełka, które innych kołyszą
Dla mnie są kofeiną
Spojrzeniem pełnych oczu
Przeszłości odkryciem

Te kołysanki, które uśpiły i miód i mleko
Usłyszałem w nich marsza
Pianie koguta
Słoik wspomnień wyczyściłem po denko

I ci co śpią razem ze słońcem nie wiedzą,
Że chodź nogi są zgięte
I język jak papuga
To serce nigdy nie uklęknęło

Karol Bronk

Wyróżnienie

Byłem Wielkim Wodzem

Od białego człowieka
za paczkę papierosów i butelkę czystej wódki
sprzedawaną na kartkę z wodnym znakiem
bez wizerunku orła w koronie
dowiedziałem się
że w Miastku są pralki

bez malowania twarzy
i zbędnego okrążenia
zdobyłem jedną
za kilka skór wygarbowanych moją pracą
na własnych rękach
wniosłem do piętrowego wagonu
na którego Apacze nie mieli odwagi napaść

wieczorem uroczyście przeniosłem
przez cały Słupsk
bez fajerwerków i iskier kopyt o bruk
od dworca do akademika
ludzie ślinili się na mój widok
sięgali do kabur
próbowali zabić wzrokiem

córka sikała w najlepsze

Jerzy Fryckowski

Wyróżnienie

* * *

Lubię jak cofasz czas
bez odrobiny szminki i wszelkich ozdobników brwi
duża wskazówka zostaje blizną między piersiami
mała kładzie się na ustach milczeniem

potrafisz cofnąć się tak daleko
że odwieszasz jabłko na drzewie dobra i zła
wciskasz je w paszczę węża

jest nadzieja że nas nie wygonią

chociaż wyglądam bardzo głupio
ze śliniącymi się ustami
w zaszczanym pampersie

i z kroplówką na wyciągnięcie ręki

Jerzy Fryckowski

Wyróżnienie

* * *

Nie umiem czytać twoich wierszy
zamieniam się w Sherlocka dla ubogich
tropię słowa które mi sprzedałaś za sto pocałunków
a żaden nie zamienił się w karabin
dla walczących o wolność Meksyku
(Viva Zapatta oglądałaś w łonie matki)
doszukuję się zapachów dworców i lokomotyw wycofanych
z użytku
staram się być w biegu i na bieżąco
niepokoi mnie gdy piszesz o tych
których już dawno pochowałem
a dopiero dzisiaj udało mi się zrealizować
wypisane dla nich recepty
poznaję po meblach i kolorach dywanów
czy jest to wiersz z naszej epoki
czy z okresu londyńskiego w najnowszej historii Polski

umiem ciebie na pamięć

powtarzasz się
milcząc codziennie

Jerzy Fryckowski

Wyróżnienie

Fok

Pospolitą szarością futerka mięciutkiego
helskiego basenu brzeg ożywiony.
Krągłookie szczenięta,
przychówek coroczny,
pociechą ludzkiej ręki.
Plusk i zabawa radością milusińskich.
Świeża strawa zdrowia symbolem,
kondycji nauka posłuży.
To już.
Słodkie wyzwolenie.
Urok smutnej minki,
wzruszenie serc naszych
i zew natury.
Moc ludzkiej duszy,
przywrócenie...

Aleksandra Paluszek-Kur

Wyróżnienie

Forum

Mała99 03.07.2014 16:50
Hej ludzie! Czy ktoś tam jest...?! Rozmawiać chciałam o pszczołach, jest coraz mniej ich
na polach. Jakie mam zdanie mieć? O pokolenie się boję, chcę wyczuć wasze nastroje...

Optymista87 03.07.2014 17:12
Oj, nie panikuj dziewucho! Pszczół jeszcze mamy bez liku, nam nie zabraknie miodziku.
Tylko ci szepnę na ucho: zagony nie będą odłogiem, znam na to niejedną metodę.

Gosposia61 04.07.2014 13:36
Od wczoraj spokoju nie mam. Dyskusje się nasilają, naukowcy więc rację mają,
ludzkość wyginie domniemam. Człek świeżych jarzyn łaknie, zaś płodów rolnych
zabraknie.

Pszczelarz58 04.07.2014 18:37
Trudna to sprawa bynajmniej. W kaszubskim regionie doświadczam i wszem, i wobec
oświadczam: pszczół brak połowy co najmniej. Zbiór miodu miałem skromniejszy, nie
tylko to problem tutejszy.

Mała99 05.07.014 15:56
Czy alternatywa jest jakaś? Żyć długo by się chciało, głodu i chemii nie znając.

Einsteina teoria jest taka: ostatni owad na kwiecie, my cztery lata na świecie.

Badacz65 05.07.214 23:47
Konsekwencją to naszych wyborów. Pestycydy szkodzą naturze, nie należy stosować
ich dłużej. GMO propozycją doktorów. Kontrowersyjny ratunek to świata. Wróć Mała
do zasad pradziadka.

Aleksandra Paluszek-Kur

Rybitwa

Czy bolków bałtyckich los ci drogi?
Czy kuter rybacki się dziś obłowi?
Jak znaleźć „środek złoty" na ludzkie i ryb kłopoty?

Morze ryb w otchłani Bałtyku bywało.
Dorsza smacznego wciąż zaborczym rynkom mało.
Hojnej natury równowagę region nadszarpie!
Znasz choćby hodowlane karpie?!

Odgórna niedola biedaka,
zeszła na bogobojną duszę rybaka.
Chłop modli się w dzień i w nocy,
wolną wolę swą ma w niemocy.

Zwiększono kwoty połowowe,
ustalono konwencje międzynarodowe.
Blokada portów nie grozi,
więc dorsza znowu się mrozi.

Aleksandra Paluszek-Kur

Wyróżnienie

Wychodzę dla pokoju

Wychodzę na ulicę i widzę
Miasto
Moich przodków i dzieci
Wychodzę na ulicę i widzę
Mury
Kamienic wojny i obrony
Wychodzę na ulicę i widzę
Ludzi
Uciekających i walczących
Wychodzę na ulicę i widzę
Wojnę
Minionego czasu i niepokoju
Wychodzę na ulicę i myślę
Życie
Zabrałeś mi świętość i dałeś
Pokutę
Wychodzę na ulicę i żyję
Snem
Na przedmieściu spokoju

Patrycja Pionke

Wyróżnienie

Stworzenie w słoiczku na stoliczku w pokoiczku

Wyzionął ostatniego, a nie pomyłka.
Kręci się dookoła -czegoś- szuka.
Budujesz ściany. Do jakiego pokoju?
Zamknięty w sobie, siedzisz i zerkasz.
Leży na stole kluczyk. Do czego służy?
Do której strony przytulisz swe troski?
Tym razem padnie na okno.
Budujesz domek z kart. Dla kogo?
Dławisz się swoją samotnością.
Współczuć tobie tylko można.
A ja siedzę pod tym wieczkiem
Mruczę sobie a śpiewam do ciebie:
Jak źle mi, ach jak mi źle
Gdybyś choć raz wyjął mnie
Chcę na wyspę nieludzką
Nie wymyślać co robić
Nie brać smutków i łez
Jak źle mi, ach jak mi źle
Tutaj nic nie dzieje się
Słuchasz ty chociaż mnie
Pokój ma cztery mocne ściany.
To mur dla innych nieodparty.
Podrapane tapety, wytarte tapczany.
Jedno zostaje bez szkodliwej zmiany.
Twoje miejsce -tu siedzisz i zerkasz.
Odebrałeś swoją nagrodę (dla) pokoju?
Cisza. Nareszcie zamknął oczy i nie zerka.

Patrycja Pionke

Wyróżnienie

List otwarty Burmistrza P. do mieszkańców/właścicieli ogródków:

- Szanowni Mieszkańcy !
Powiedział to dosadniej:
- Panie i Panowie,

Skromnie Was proszę nie czyńcie sąsiadom do miarki złego. Nie wypada grozić i wymachiwać palcem.

Bądźcie weseli i śmiali do czynów, o których mówić będziemy z dumą. Bądźcie zwyczajnie dobrzy dla siebie.

--- O wiele za dużo powiedział na samym początku. ---

Nie przestawajcie być sobą, a jednak zmieniajcie swe postępowanie. Ja już nie proszę a błagam.

Tak dalej żyć nie można, w świecie intryg, knowań, i do przesady nagłych zgłoszeń o wybiciu okien.

Kto i kiedy, za co i przez co. Niech już będzie jasne, że wybaczamy sobie nawzajem. Wszyscy - jedno.

--- Myśli przewodnie. Szczere i krótkie. ---

Nie jestem proboszczem. Nie jest papieżem. Nie jestem świętym. A wiem jedno i powiem to głośno: bez pokoju się nie obejdzie. bez pokoju żadne drzewo nie urośnie. bez pokoju nie znajdziemy siebie.

Weźmy jeden głos na nasze ramię i dźwignijmy go, bierzmy odpowiedzialność.

Za własne śmieci. Nie cudze. A jednak patrzmy co idzie po brudzie. Weźmy jeden głos na nasze ramię i dźwignijmy go, bierzmy odpowiedzialność.

Za własne tak. Nie cudze. A jednak wpłyńmy na to, co mówią ludzie. Weźmy jeden głos na nasze ramię i dźwignijmy go, bierzmy odpowiedzialność.

Za własne ja. Nie cudze. A jednak swoje życie oddajmy za drugie.

--- O, i tu nasunęła się puenta, a jaka? Prosta. ---

Będę wdzięczny za spokojny rok, kadencji mojej. Będę wdzięczny za współczucie.

Czuję się wypatroszony. Mieszkańcy moi drodzy. Przestańcie odwiedzać się w zawiści. Od nas zależy co jeść będziemy:

ALBO OWOCE ALBO LIŚCIE !!!

Wasz oddany Burmistrz (Miłośnik Ogródek bez Gródek)

Patrycja Pionke

SPIS TREŚCI

Bogdan Tokłowicz – Drodzy Czytelnicy	5-7
WYNIKI KONKURSU	8
Stach Szulist - Ojciec naprawdę pragnął umrzeć	9-24
Krzysztof Szkurłatowski - Dziedzictwo	25-36
Bogumiła Richert - Zosia	37-42
Daria Kaszubowska - Lekcja współczucia	43-52
Lidia Zdzitowiecka - Menadżing	53-65
Alicja Orszulak - Drabina	66-74
Daria Węsierska - Sosna, Impresja leśna malarza, W akwarium gdyńskim	75-77
Rafał Baron - Ci którzy zobaczyli, Śmierć, Legion	78-81
Lechosław Cierniak - Tryptyk autobiograficzny	82-84
Karol Bronk - Brudy, Łańcuch życia, Nie uklękło	85-88
Jerzy Fryckowski - Był wielkim wodzem	89-91
Aleksandra Paluszek-Kur - Fok, Forum, Rybitwa	92-94
Patrycja Pionke - Wychodzę dla pokoju, Stworzenie w słoiczku, na stoliczku w pokoiczku, List otwarty Burmistrza P. do mieszkańców/właścicieli ogródków	95-98
SPIS TREŚCI	99
PODZIĘKOWANIE	100

Wszystkim autorom, którzy wzięli udział
w IX edycji
Wejherowskiego Konkursu Literackiego
“Powiew Weny 2014”
z całego serca dziękuję
za nadesłanie swoich prac na nasz konkurs
i życzę powodzenia
w następnych edycjach “Powiewu Weny”
oraz innych konkursach literackich

Przewodniczący Jury
Bogdan Tokłowicz



MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
W WEJHEROWIE
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

ISBN 978-83-928233-7-7